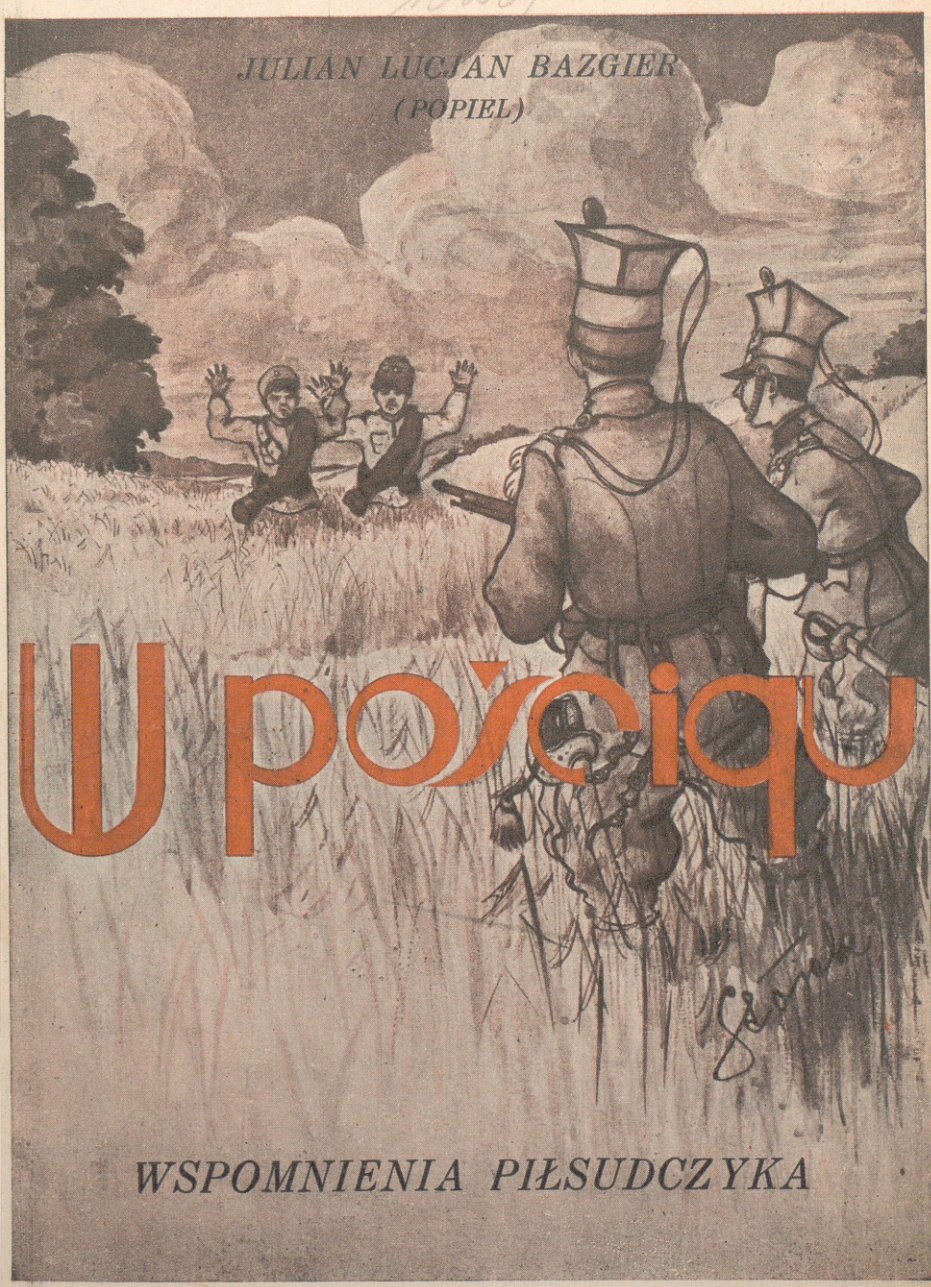
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA .COM



15257

JULIAN LUCJAN BAZGIER
(POPIEL)



W pościgu

WSPOMNIENIA PIŁSUDCZYKA

W POŚCIGU

JULIAN LUCJAN BAZGIER
(POPIEL)

W POŚCIGU

WSPOMNIENIA PIŁSUDCZYKA

WARSZAWA — 1938

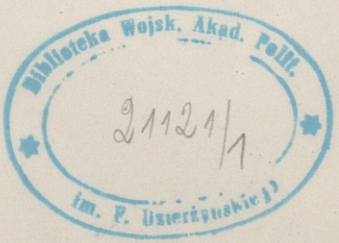
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

92

15258

PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE





GŁÓWNA DRUKARNIA WOJSKOWA 1938 R. — Nr 4252

SPADKOBIERCY
WIELKICH IDEI POLSKI MOCARSTWOWEJ,
NACZELNEMU WODZOWI WOJSKA POLSKIEGO,
MARSZAŁKOWI
EDWARDOWI ŚMIGŁEMU-RYDZOWI,
KSIĄŻKĘ NINIEJSZĄ
W ŻOŁNIERSKIM HOŁDZIE POŚWIĘCA
AUTOR

SPIS RZECZY

Od autora IX

Od Nidy do Wisły 1

Pod Tarłowem 59

W dymie pożarów 77

Śladem klęski 115

SPIS RZECZY

Od autora IX

Od Nidy do Wisły 1

Pod Tarłowem 30

W dymie pożarów 77

Siadem klęski 113

OD AUTORA.

Książka niniejsza jest dalszym ciągiem przygód i przeżyć ludzi z „Czwórki sztandarowej", którą oddałem w ręce Czytelników rok temu. Mam przeświadczenie, że spełniłem nakaz Wielkiego Wodza i tej chwili dziejowej, która zrodziła Czyn i zapoczątkowała nasze wyzwoleńcze walki. Walki nie tylko o istotne podstawy państwowego niepodległego bytu, ale przede wszystkim o Polskę żywą, o Rzeczpospolitę taką, jaką jawiła się nam w naszych snach młodzieńczych. Świetlaną wizję wszelkiego duchowego dobra, jakie może stworzyć tu na ziemi istotna i prawdziwie pojęta demokracja, biorąca w obronę Człowieka i jego prawa do wolności fizycznej i duchowej przed obcym naszemu narodowi imperializmem, związanym z tymże gwałtem i uciskiem.

Dostąpiwszy tego niezmiernego zaszczytu uczestniczenia we wszystkich, oprócz Łowczówka, bojach żołnierzy obywatelskiej brygady i znalazłszy się w gronie Kolegów, reprezentujących owe bogactwo duchowe popowstaniowego pokolenia „romantyków", dziś śmiało rzec mogę, iż ów okres trudów wojennych, rozpaczliwych sytuacji, ciężkich przesileń politycznych i zmagań duchowych był najpiękniejszym w moim życiu. Całą kampanię odbyłem jako „żelazny frajter", zaś moje marzenia o gwiazdkach oficerskich w Legionach zniweczone zostały przez twardy rozkaz dobrowolnego rozbrojenia się, odmarszu za kolczaste druty.

Tak. My, żołnierze Pierwszej Brygady, byliśmy i nie przestaliśmy być dotychczas, bez względu na to, jakie stanowisko społeczne zająć nam wypadło po wojnie, t y l k o ż o ł n i e r z a m i, choć chciano by w nas widzieć filozofów. Rozumowanie na różne tematy życiowe było u nas na porządku dziennym. Jako ludzie społecznie uświadomieni nie hołdowaliśmy rodzimej wsteczności, nie spoglądaliśmy też przez różowe okulary młodości na pewne rzeczy i zjawiska, które na potępienie zasługiwały. Czyniliśmy to wszystko bez złośliwości, z tym cechującym nasze bractwo wisielczym humorem, jaki nie opuszczał nas nigdy, w najcięższych nawet chwilach. Ale leguńskie „kawały", czy anegdoty żołnierskie nie mają w sobie nic z płaskiego, ordynarnego dowcipu. Są oryginalne w swoim rodzaju, wyraźnie satyryczne. Umieliśmy bowiem gryźć tylko sercem, a pełnia uczucia tryskała z każdego zwrotu, z każdego prawie „powiedzonka" tego czy owego relutona. Potrafiliśmy też okazywać te uczucia piosenką, której zwrotki układane były muzyką „wedle słuchu", dlatego taką prostą i tak swojsko wprost do serca polskiego przemawiającą.

Pragnę w swych wspomnieniach dać ogółowi Czytelników możliwie wierny obraz wydarzeń i galerię typów, charakteryzujących „obywatela" Pierwszej Brygady.

Na tle dziejów VI batalionu, tego batalionu, który w walkach utracił prawie wszystkich oficerów, oddziału, mającego niejednokrotnie powierzane do wykonania samodzielne zadania taktyczne, przerastające szczupłość jego sił, jako jednostki bojowej, najmarniej wyposażonego i najmniej oszczędzanego, wyrosnąć ma duchowa sylwetka żołnierza, który tylko w zbiorowym działaniu, jako zespolona masa, zdolen jest podołać ciężkiemu zadaniu, gdyż poza tym jest człowiekiem, ulegającym chwilom słabości i zniechęcenia. Zdaję sobie dokładnie sprawę z trudności przedstawienia rzeczywistego stanu rzeczy tak, by był z tego równocześnie pożytek i zainteresowanie ze strony czytelnika. Dlatego

też swe opowiadania będę przeplatał urywkami dziennika, opracowanego na podstawie notatek, czynionych w polu. Przy zachowaniu bezpośredniości wrażeń rzucę też snop światła na pewne wydarzenia z dalszej perspektywy, przy zwiększonym po latach przeszło dwudziestu „polu widzenia". Myślę, że i historykowi łatwiej będzie przy tym układzie „wyłowić" coś dla siebie, uzupełniając dzieje I brygady mało jeszcze znanymi szczegółami.

Mając na widoku przede wszystkim cel wychowawczy, nie osiągnąłem dotąd ani połowy zamierzonej pracy, którą kontynuować będę, czerpiąc z przebogatego materiału przeżyć własnych, jako też najbliższych towarzyszów broni wszystko to, co wydaje mi się najwznioślejsze, najpiękniejsze i najistotniejsze.

Opisując okropności wojny, na które przecie własnymi patrzyłem oczyma, nie chcę, aby mnie posądzano o pacyfizm, na który w Ojczyźnie naszej nie może być miejsca. „Losy narodów decydują się wojną", podkreśla w jednym ze swych przemówień Naczelny Wódz, Marszałek Rydz-Śmigły. Jaskrawa rzeczywistość dymiących zgliszcz i krwawych pobojowisk nie może odstraszyć żołnierza, który posiada w duszy prawdziwe ideały i który rozumie, że o dobrą walczy sprawę. Musi być przecie na te okropności przygotowany i zawsze gotowy do przelania krwi, z oparów której powstają nowe wartości duchowe.

Piszę i pisać będę o tym, jak było i jak być musiało, aby z ogólnego światowego chaosu kosztem niezmiernych ofiar i zbiorowym wysiłkiem mas powstać mogła Ta, Która nie zginęła.

Wszystkim tym, którzy przyczynili się do niniejszego wydawnictwa, składam serdeczne podziękowania.

Os. Orlęta dnia 16/V 1937 r.

OD NIDY DO WISŁY

(DZIENNIK ŻOŁNIERSKI)

OD NIDY DO WISŁY

(DZIENNIK ZOLNIERSKI)

12 maj 1915. Sędziejowice.

Wczoraj rano w Pawłowicach, wobec dokonanego faktu opuszczenia przez Moskali Pińczowskiej Góry i szybkiej ucieczki na wschód, znaleźliśmy się jak sztubacy (nie brakuje ich między nami). Spodziewaliśmy się tego z dnia na dzień. Nocne perkotanie silników po tamtej stronie góry świadczyło o śpiesznym wywożeniu z frontu cenniejszego materiału wojennego. Podejrzane dymy za Skowronnem, powstałe zapewne przy wysadzaniu jakichś mostów, umacniały nasze domysły. Wiadomość zaskoczyła nas jednak, a niektórzy jeszcze wierzyć nie chcieli.

Jakto?

Toć przed samym świtaniem moskiewskie kule z Koperni hulały jeszcze po rozlewiskach, budząc czujność gramolących się chyłkiem przez moczary patroli i gasząc chwilami miłosne kwilenia czajek, zrywających się do lotu, lub gderliwe głosy derkaczy zapadających w kępy nadbrzeżnej łoziny. Aż tu około godziny 9-tej przychodzi wiadomość, że Moskali nie ma!

Nie wiem dlaczego, obecna sytuacja nasza skojarzyła się w mej myśli z sytuacją jasnogórskich obrońców. Nagle odszedł wróg. Wczoraj jeszcze zdawał się tak groźny i bliski. Wtedy, gdy odchodził Szwed, była zima. Miękki śnieg zasypywał, według Sienkiewicza, wielkimi płatami ślady upokorzonych, choć nie pobitych, żołdaków... A tu majowe słońce tak mile przygrzewa i wietrzyk łagodny

igra radośnie wśród olchowych szyszek i seledynowej zieleni, rozwijających się do życia krzaków nad Mierzawą!... Przecież wtedy, tam, zagrożeni w swym istnieniu, które istnieniem całej Rzplitej było, rycerze i mnisi sami oblegani byli i, zda się, zdani na łaskę i niełaskę wroga.

A my tu stoimy na własnym okopie. Przysłaniając oczy przed rażącym blaskiem słonecznym wpatrujemy się w zdumieniu w dymiącą wczoraj jeszcze ogniem wybuchów nieprzyjacielską redutę z tańczącymi po niej szkieletami spalonych chałup i żałosnych kominów. Redutę potężnej Koperni z trzema rzędami wykutych w kamieniu okopów, którąśmy oto od szeregu tygodni oblegali i do zdobycia własnymi rękami od dawna sposobili.

Nie wiem, o czym myśleli moi towarzysze, którzy wraz ze mną wybiegli z ziemianek. Ale w ich wytężonym ku Pińczowskiej Górze wzroku dostrzegłem cień jakby zawodu, hamujący szaloną radość... Nie potrzebujemy już tej góry zdobywać. Będziemy mogli teraz wedrzeć się bezpiecznie ponad wiejące pustką oczodoły opuszczonych strzelnic i gnać nienawistnego wroga z góry na dół, bez chwili wytchnienia i odrobiny litości, aż do jego przeklętego kraju, w którym jeno płacz i zgrzytanie zębów...

Wiem tylko, że patrzyliśmy tak długo i w milczeniu, dopóki na tle bujnie zieleniejących łąk nie zamajaczyło kilka niebieskich punktów naszego patrolu, zbliżającego się do linii moskiewskich okopów. Za chwilę zagłębili się w ruinach. Obawialiśmy się, że ta cisza, do której ucho nie przywykło, a i reszta zmysłów przystosować się tak długo nie mogła, roztrzęsie się nagle gromką salwą lub szalonym armatnim wybuchem, jak to było jeszcze wczoraj w olszynce nad Mierzawą.

Ale nic, cicho jak makiem siał.

Niebieskie punkciki wyłaniają się znowu i, ciemne teraz na tle białej linii okopów, spokojnie po nich myszkują.

Równocześnie jakieś plutony przechodzą w przód.

Tu i ówdzie rogata czapka ułańska chyli się w takt poruszeń konia szukającego kopytami oparcia w bulgoczącej obok kładki wodzie. Przebiega gęsiego jakaś sekcja przeprawiająca się do Skowronna.

Radość nieopisana, radość szalona wyładowuje się w mig w podskokach i okrzykach oblegających okopy legunów.

Jeszcze nie ma żadnych rozkazów, a już poniektórzy sekcyjni troszczą się na własną rękę o to, aby żadnej zwłoki nie było.

— Naprzód, wiara! Pakować rynsztunki!

Wróciłem ze swoją sekcją do chałupy, do nie dopitej kawy, nie dojedzonego śniadania.

I tu, u wrót naszej kwatery, jak w „Potopie", zastaliśmy, nie kramarzy podklasztornych wprawdzie, kołatających o przyjęcie ryby świątecznej, pobożnym ojcom powinnej, ale kogoś równie miłego i nieoczekiwanego. Oto do gospodyni naszej przydrałowała już biegiem wprost z Pińczowa krewniaczka jakaś, pyskata, że strach!

Choć z zajadłego trajlowania przekupki wynikało jasno, że sympatyzuje ona z Moskalami, cieszyliśmy się tym rzeczywistym świadkiem upokorzenia wroga. Nie zaniechał on średniowiecznych praktyk w nowoczesnej wojnie, wieszając publicznie na rynku pińczowskim kogoś „bardzo podobnego do was", jak to zjadliwie określiła przybyła megiera.

— A może to był Feliksiewicz? — porozumieliśmy się wzrokiem. — Jak wyglądał?

— Był młody, cerniawy, a pod siubienicą ściskał, niebożątko, medalik z Matką Boską i płakał, kiej dzieciuch!

Nie, to nie mógł być nasz kapral, który, pomimo że stchórzył w pierwszej chwili i dał się przeciągnąć na drucie, zdobyłby się chyba na śmierć godną legionisty. I poczuliśmy nagle niechęć do tej baby, a Wuj zgromił ją nawet surowo:

— A wy, matko, banialuków nie wyplatajcie, Matki Boskiej w wasze podłe sprawy nie mieszajcie, bo Austriaki umieją huśtać na szubienicy nie gorzej od „waszych“! Zwłaszcza babskiego trajlowania nie znoszą, bo to im konkurencję robi. Więc bądźcie lepiej ostrożniejsi z językiem!

Baba nagle spotulniała i jęła się sumitować, że szczerą prawdę mówi, czym jeszcze bardziej rozzłościła Wuja, który powstał nagle z ławy i udał się na podwórze, aby pod okiem obowiązkowego Otella spakować swój rynsztunek jak się patrzy.

Scena z babą popsuła nam humory nie na długo, bo już za chwilę rozpoczęły się radosne przegadywania i żartobliwe uwagi. Rynsztunki migiem spakowano, po czym zaczęliśmy się nudzić. Co gorętsi urządzili sobie samopas wycieczkę do Pińczowa i zdążyli jeszcze wrócić, zanim nadszedł rozkaz wymarszu.

Dopiero po południu zarządzono zbiórkę i ruszyliśmy w kolumnie ku spalonemu mostowi, koło odbudowania którego uwijali się właśnie nasi saperzy i pionierzy austriaccy. U przeprawy tkwił w komplecie cały sztab brygady. Nieco opodal nasz ukochany Komendant otrzepywał sobie szpicrutą zakurzone skórzane sztylpy. Na nasz chóralny powitalny okrzyk: „Niech żyje Dziadek!“ uśmiechnął się porozumiewawczo oddając równocześnie ukłon prowadzącemu batalion Satyrowi.

Och, ten czarowny uśmiech Komendanta!

I błysk oczu, nigdy niezapomniany, rzucony jakby mimochodem spod brwi nastrzępionych, młodzieńczo-dostojny, pobudliwy zarazem i wnikliwy, w którym malowała się i troska Wodza, i miłość Ojca, i ból Myśliciela!

Minąwszy saperów pomaszerowaliśmy przez Sobowice do Imielnicy, zajmując kwatery 2-go pułku, który przeszedł już był Nidę, częściowo w bród, częściowo po kładkach tymczasowo skleconych na słupach spalonego mostu.

Dziś rano wyruszyliśmy razem z taborami i koło południa, stanąwszy u przeprawy, czekaliśmy przez dłuższą chwilę na przejście V batalionu, który postępuje przed nami.

Za naszą czwórką sztandarową maszerowali w drugiej czwórce: Henryk Domino, kleryk, inaczej Dominus Vobiscum zwany, Stanisław Dziuk, Antoni Bąk i Bołt-Groman. Dalej Otto-Pecykiel, Skowron, Jurkowiecki, Grzebyk, Bielawski i wielu, wielu innych. Nazwiska ich znane są jeno wtajemniczonym, zaś pseudonimy, w notesach sekcyjnych pilnie notowane, ciągną się taką samą kolumną jak ta oto ku przeprawie dążąca. Batalionowy Satyr na przedzie, w towarzystwie ppor. Bratro, adiutanta baonu. Kompanijny Rzecki na swej kasztanowatej kobyle, po śp. Kordianie, wraz z kompanią odziedziczonej. Zaś za tym kobylim ogonem sylwetka „ojca“ plutonu ppor. Ceceniowskiego Izydora rysowała się wygiętymi w kabłąk rękoma. Do niego przymykali czasem od tyłu dowódcy dalszych plutonów: Rychlik lub Borowicz. Za szarżami oficerskimi, tuż przed naszą czwórką, postępowali podoficerowie: Jaś Michalski, podoficer za frontem, i sekcyjni: Michał Tomaszewski, Zdzich Rosołowski, „różowy Czesio“ Przybyszewski.

Satyr ze swym adiutantem tudzież „melderajtrem“, wąsatym Jatczakiem, krył się już przed nami w tumanie kurzu, gdyśmy wstąpili na pierwszą kładkę trzęsącego się mostu wymijając grupkę sztabowców. Wśród nich widniał literat Kaden-Bandrowski, do którego zwrócił się Pecykiel, udając szum granatu, lecącego w powietrzu, lecz widząc, że tym ani jeźdźca, ani jego lotnego Pegaza nie odstraszy, zawołał w marszu:

— Obywatelu Kaden, a napiszcie tam co morowego!

Przebywszy most jęliśmy się wspinać pod górę.

Satyr, Bratro i Rzecki zjechali w bok, aby się przyjrzeć opuszczonym okopom rosyjskim. Batalion maszerował dalej, mijając ruiny i domostwa wsi Skowronna, przed któ-

rymi zebrały się ciekawe grupki chłopów przyglądających się nam dość przyjaźnie.

W Podłężu zatrzymaliśmy się na obiad. Tu Satyr podzielił się z nami wrażeniami, odniesionymi podczas zwiedzania okopów moskiewskich. Były one miejscami kute w opoce skalnej, ze schronami i ziemiankami, głębsze i daleko wygodniejsze od naszych, z dogodnymi przejściami i dojściami do placówek. Na nasze natarczywe pytania, jak daleko Moskale mogli uciec, odparł poważnie:

— Myślę, że pod Staszowem, nad rzeczką Czarną, zajęli umocnione pozycje, z góry przygotowane, i tam będziemy mieli z nimi robotę. Zresztą, nie wiadomo, czy się tam długo ostoją, bo przełom pod Gorlicami robi swoje. Tarnów, Dukla, Jasło zajęte, armia Radko-Dmitriewa doszczętnie rozbita, idące naprzód dwie armie austriackie i jedna niemiecka straciły kontakt z nieprzyjacielem. Jeśli tak dalej pójdzie, rozgrywka czeka nas dopiero nad Wisłą.

— Jednym słowem, fajno jest! — zakonkludował któryś z lwowiaków skręcając sobie potężnego papierosa.

Dowiedzieliśmy się też od Satyra o nowym barbarzyństwie Moskali. Patrole 2-go pułku odnalazły w ruinach Skowronna trupa legionisty, zaginionego dwa dni temu, w straszliwy sposób zmasakrowanego. Miał roztrzaskaną czaszkę, ciało całe podziurawione kulami, rozpruty brzuch i wyrżnięte genitalia, a twarz skrajaną nożami czy bagnetami.

I po co ten bestialski mord?

Nas to nie odstraszy, raczej usposobi do tym zacieklejszej obrony w razie opadnięcia przez wroga. Ale Moskal łączy dzikość swą z głupotą czy tępotą umysłową i na to nie ma rady.

Po wypoczynku w Podłężu ruszyliśmy w dalszą drogę przez Gartatowice do Sędziejowic, pięknej wsi kościelnej. Nie traciliśmy wciąż z oczu prześlicznej doliny Nidy, której łąki mienią się w promieniach zachodzącego słońca

piękną szmaragdową barwą wiosennej trawy. Pasie się już na niej ocalałe od rekwizycji bydełko, wyswobodzone z ciasnego zaduchu obór.

W Sędziejowicach znaleźliśmy przygotowane już w chałupach kwatery. Tu też rozwinęli działalność „kasiarze" plutonowi, nabywając za zaoszczędzone w okopach szóstki naszego żołdu mleko, jaja, ser i inne wiejskie smakołyki. Nasza gosposia gotuje na zamówienie całej sekcji żur z kartoflami, w czym jej gorliwie wiara dopomaga. Słonina skwierczy w rynce roznosząc smakowity zapach po izbie. Siedzę na ławie pod świętymi obrazami i kończę wrażenia dwóch dni ostatnich, dziwiąc się, że tak dużo napisałem.

13 maj. Ziemblice.

Pobudka o 6-ej rano. Wstaliśmy wypoczęci i po wypiciu kawy stanęliśmy na zbiórkę na placu przed kościołem. Wymarsz nastąpił o ósmej. Postępujemy wciąż za 2-gim pułkiem, z którym też zetknęliśmy się na chwilowym postoju gdzieś pod Borzykowem. Odnalazłem ojca Broka, który, jak zwykle, wycyganił ode mnie kilka papierosów dla siebie i innych „szlachetnych i zacnych" obywateli drugiego pułku. Potwierdził on w sposób groteskowy krążące w naszym plutonie szczegóły swego zranienia pod Łowczówkiem. Suchy jak tyka, patrzący z góry na każdego poczciwy Brok zdawał się być zadowolony z siebie i swego otoczenia, które, jak zauważyłem, odnosiło się też doń z tym wyrozumiałym respektem co i u nas. Pożegnał mnie bardzo serdecznie polecając się nadal pamięci plutonu.

Po obiedzie ruszyliśmy w dalszą drogę do Sielca, gdzie mieliśmy wyznaczone kwatery. Ale wieś ta na pomieszczenie całego pułku okazała się za ciasna, więc nasz baon maszeruje dalej, do Ziemblic. Tu na jeden pluton wypadło po cztery chałupy, tak że część ludzi musi nocować w stodole, pustej o tym czasie.

Szarą godzinę pięknego, ciepłego wieczora spędziła wiara w gromadkach, żywo na dworze rozprawiających lub też wyśpiewujących chóralnie nasze pieśni legionowe:

„Wielka, wielka wojna będzie,
„Oj, niejeden Moskal zginie!
„Lecz i nam mogił przybędzie
„I niejedna łza popłynie — —

Słuchają tej pieśni skupione za płotkami lub w sadkach dziewczęta wiejskie i wyrostki, słuchają i starzy, którzy już przedtem wiedzieli, że przyjdziemy, i umieli nas od razu odróżnić od Austriaków. Słuchają z zapartym oddechem, gdy zwrotka pieśni, podchwyconej przez wszystkie naraz głosy, potężnieje i w wysoki uderzy ton.

Dopiero późnym wieczorem udało się szarżom inspekcyjnym zapędzić „łazarzy“ do spania.

Naszej czwórce wypadło nocować razem z szarżami w chałupie na grubym podścielisku z resztek słomy, przyniesionej przez gospodarza z opustoszałej już stodoły. Ukołysało nas do snu zabawne zachowanie się kaprala Śliwy, który przetrzymał nas wszystkich, bowiem zauważył, że gospodarz chaty ma większy zapas doskonałego rosyjskiego tytoniu. A że wyłgać tego tytoniu nie mógł inaczej, jak przez zajęcie ciekawą rozmową jego posiadacza, zasiadł tedy obok kmiecia na ławie pod piecem i, korzystając z naszego półsnu, jął mu prawić duby smalone o bitwie pod Łowczówkiem, w której, jak słyszałem, zaraz w początku Moskale ustrzelili mu obcas u buta. Z porażoną piętą Śliwa wycofał się z linii żadnego prawie udziału w niej nie biorąc.

Dusiliśmy się pod kocami ze śmiechu, słuchając bredni pomysłowego zagłębiaka, sięgającego coraz do pękatego kapciucha gospodarza, aby potężną szczyptę tytoniu móc też zachować na czarną godzinę. A że się przy tym jąkał, opowiadanie o własnym bohaterstwie weszło później

w obyczej stałego przygadywania autorowi tegoż. Zwłaszcza przytaczania ustępu o tym, jak to on, Śliwa, sam jeden poszedł w nocy na patrol i przyprowadził trzech Moskali wprost przed oblicze samego Piłsudskiego:

— Trzech Moskali ba-czność!

O-obywatelu Ko-komendancie, po-odoficer Józef Śliwa me-elduje posłusznie, że wziął do niewoli trzech Mo-moskali.

Trzech Moskali spo-ocznij! — —

Dziadek popatrzył na mnie, uśmiechnął się, że to niby tak morowo ko-omenderuję, podał mi rękę, o tak! (ruch do kapciucha z tytoniem), po-okręcił wąsa (sprytne umieszczenie wydobytej porcji w przegubie dłoni) i pyta:

— A skąd wy ro-rodem, obywatelu?

— Z Za-awiercia.

— Ro-robociarz pewnie? Zaraz widać. Za-za ten czyn odważny mianuję was ka-apralem!

Tu już i naiwnemu kmiotkowi świtać w głowie zaczęło:

— Przeciek pon pedał, ze już był podoficyrem, kajze tu nadgroda?

Ale Śliwa się oburzył:

— E, wy się na szarży, ociec, nie rozumiecie. Po-podoficerem to ja się już urodził, bo inaczej jakżebym mógł wziąć trzech Mo-oskali sam jeden do niewoli, prze-ecie musiałem mieć ludzi ze-ze sobą! Nie?

Skonfundowany gospodarz, który też ponoć na tureckiej wojnie za cara Aleksandra II gdzieś pod Plewną bywał i szarży nijakiej nie otrzymał, sam wyciągnął teraz swój kapciuch ku oburzonemu rozmówcy, z czego ten nie omieszkał na swój sposób skorzystać, wyjąkując w dalszym ciągu słuchającemu go teraz z nabożeństwem kmiotkowi:

— Co ro-obociarz to nie chłop, w do-dodatku niepiśmienny. Dzia-dziadek swoich ludzi zna i mnie o-od razu kapralem zrobił, choć uczone studenty bez na-naszywek chodzą. Bo w naszym wojsku spra-awiedliwość musi być!

14 maj. Ziemblice.

Jesteśmy rezerwą brygady. Austriacy działają bardzo ostrożnie, będąc pod wrażeniem, że nieprzyjaciel stawi silny opór na przygotowanych pozycjach nad rzeczką Czarną. Tymczasem nasi zajęli okopy i rejon Staszowa. Z odcinka tego Moskale wycofali się bez boju, wskutek czego cały korpus austriacki przeszedł pozycję nad Czarną bez strzału.

Gdzieś pod Bogorią nasi ułani mieli potyczkę z kozakami. Szykujemy się do wymarszu opatrując broń i porządkując rynsztunki. Ludność odnosi się do nas sympatycznie. Z alkierzy, komór i innych schowków powyłaziły dziewczęta i młodsze niewiasty, które się przez cały wczorajszy dzień ukrywały. Moskale rozpuszczali pogłoski, że będziemy je gwałcić i mordować.

15 maj. Oględów.

Dziś był cholerny marsz. Choć upał się zmniejszył, a nawet powiał zimny wiatr, wiara ocieka potem. Przed nami idzie V batalion, w straży przedniej ułani Beliny.

Teren bardzo urozmaicony, wsie, gęsto położone jedna przy drugiej, toną całe w kwitnących sadach i zieleni. Ziemia, zmoczona rzęsistym deszczykiem w nocy, już wyparowała, kurz wciska się wszędzie: do oczu, gardła i nosa. Bardziej dbali żołnierze poobwiązywali chusteczkami zamki od karabinów, rzetelnie na dłuższym postoju w Ziemblicach wyczyszczonych, aby je od wciskającego się wszędzie pyłu uchronić. Kolumna rozciąga się coraz bardziej, wpadamy w wąwozy, to znów wspinamy się na jakieś pagórki. Zwłaszcza w wąwozach, usłanych grubym pokładem miałkiego pyłu, przebijamy się jakby przez gęstą zasłonę, za którą nie widać ani Rzeckiego, ani nawet szarż czołowych na przedzie.

Wreszcie koło południa zajmujemy jakiś wygon, na którym zdążył się już rozlokować V batalion. Zachodzimy kompaniami, składamy w kozły broń, zdejmujemy rynsztunki z obolałych ramion. Wnet nadjeżdżają kuchnie i szykują się do wydawania obiadu. Ściągają powoli maruderzy. Ale nie ma zwykłego ożywienia, wiara rozłazi się jakby senna w poszukiwaniu dogodnego wąwozu i zyskania odrobiny cienia, bo słońce znów silnie przypieka. Wreszcie brzęk menażek i głośne nawoływania prowiantowców przerywają błogi wypoczynek, przy kuchniach tworzą się leniwe ogonki. Wiara posila się naprędce, dmuchając zajadle na gorącą zupę, gdy wtem zza wzgórza wyłonił się w obłokach kurzu cały sztab brygady: Komendant, szef sztabu, jacyś austriaccy oficerowie, ordynansi i ułani.

W strudzone marszem i upałem bataliony nagle jak gdyby piorun trzasł. Z najdalszych zakątków, spod urwisk, rowów i grusz polnych zrywają się leguny biegnąc na przełaj po wygonie do skraju drogi witać Komendanta lub choćby tylko popatrzyć nań z bliska. Niejeden spocony, zziajany, z niedojedzoną porcją zupy w ręku, wymachuje łyżką w powietrzu i drze się jak opętany:

— Niech żyje!

Piłsudski, przywykły już do podobnych owacji, pobudził swą kasztankę do lekkiego truchcika, za Nim cała sztabowa zgraja, pośpieszając, robiła miny, jakby to jej się te honory należały, zaś Austriaki oglądali się jak wilki nie mogąc zrozumieć tego nagłego wybuchu uczuć rozentuzjazmowanej wiary.

Ledwie sztab się oddalił, zza sąsiedniego pagórka ukazało się kilka wolno jadących wozów, dobrze wymoszczonych słomą, obok których postępowali powożący chłopi.

— Ranni beliniacy!

Tak jest. Było ich kilku na wozach, w tym dwóch zabitych. Jednym z rannych ułanów był brat naszego kaprala, Karol Niementowski (obecnie kierownik szkoły powsz. 7-kl.

w Kowlu). Oblegliśmy zatrzymane wozy, unosząc płótna namiotowe, którymi okryte były ciała poległych. Może kto ze znajomych?...

Ale wąsate skamieniałe twarze rysami zastygłymi w ostatnim śmiertelnym okrzyku nie przypomniały żadnemu z nas nikogo bliskiego. Jęliśmy tedy pocieszać zrozpaczonego Niementowskiego, że z bratem nie jest tak źle, choć rana zdawała się być poważna, gdyż ułan mówić mógł z trudnością.

Wkrótce wozy ruszyły dalej, a ja skorzystałem z siesty poobiedniej i przewinąłem sobie zmęczone marszem nogi, wysmarowawszy je uprzednio łojem, którego odrobinę użyczył mi z resztek posiadanych zapasów łapiduch Hochtaubel.

Wśród tumanów kurzu ruszyliśmy w dalszą drogę z tym przeświadczeniem, że dziś, jutro przyjdzie nam zetknąć się znów z nieprzyjacielem, który już poczyna się odgryzać naszym ułańskim patrolom.

Ale Moskale wieją dalej, a my podążamy za nimi marszem przyśpieszonym w kurzu, spiekocie, zziajani, czarni jak cyganie. Wysłani naprzód kwatermistrze organizują po drodze dostawę świeżej wody, której jednakże pić w marszu nie wolno, dopiero na postoju. Można wyjść z kolumny i napełnić próżną manierkę tak, aby nie zatrzymać pochodu. Czasem zamiast wody jakaś litościwsza gosposia wyniesie dzbanek odstałego mleka, do którego wnet przypuszczają szturm maruderzy.

Do jednej ze stojących z mlekiem dziewic podbiegł Anielka, kapral z 3-ciej kompanii. Jakiś jego sitwes, chcący zapewnić sobie udział w zawartości manierki, zawołał na niego:

— Hej, Anielka!

Na to zdumiona dziewczyna podniosła głowę:

— A co?

Odpowiedziano jej śmiechem. Biedna Anielka nie dowiedziała się nigdy, że są w Legionach takie cudaki, którzy chrzestne jej imię noszą godnie niby tarczę herbową.

Doszliśmy do szosy wiodącej do Staszowa. Tu nas Satyr zatrzymał, bo drogę zajęła maszerująca kolumna austriacka. Przewaliły się tabory, za chwilę nowy oddział piechoty z majorem na czele. Ten, gdy dostrzegł Satyra, jął się z nim witać serdecznie, po czym nasz dowódca baonu podjechał kawałek drogi z Austriakiem. Wrócił wnet z jakąś dziwnie rozradowaną twarzą i jak zwykle zwrócił się do nas z relacją:

— Kolegę szkolnego spotkałem. Żałuje, że nie wstąpił do Legionów, wolałby nawet mieć niższą szarżę, byleby z nami. Ale to głupstwo, grunt, że są świeże wiadomości: Mackensen przeszedł już Wisłok. Szczucin, Dębica zajęte. Nieprzyjaciel opuścił przygotowane pod Staszowem okopy, dlatego Austriaki idą tak śmiało do Staszowa.

Wiadomościami tymi najwięcej się ucieszył Dominus Vobiscum, jako pochodzący z Dębicy, przyjmując radośnie nasze gratulacje z powodu oswobodzenia tego miasta przez najeźdźców.

Za chwilę byliśmy już na szosie, po której jakoś raźniej się maszerowało i było mniej kurzu. Jednak zeszliśmy zaraz na bok, po czym polną drogą przymaszerowaliśmy do Oględowa, wyminąwszy odrutowane pozycje rosyjskie, które się Moskalom na nic nie przydały. Zajmujemy kwatery częściowo, ścisk jest wielki, zdaje się, że inne kompanie muszą biwakować bez kwater. Zajmujemy stodoły, bo choć schludne domki nęcą swoją czystością, kwatery w izbach otrzymują tylko oficerowie. Jest tu wielu niemieckich kolonistów, ale przemieszanych z ludnością polską. Po polsku też wysławiają się dobrze i przyjmują nas gościnnie.

W stodole wiara zwaliła się ciężko na twarde klepisko, zaniechawszy zwykłej lustracji chałup i wypatrywania w nich co kraśniejszych dziewuch, chętniej zaś dzież, sma-

Biblioteka Wojsk. Akad.

kowitym mlekiem wypełnionych po brzegi. Przyjemnie je spożywać drewnianą łyżką wprost z garnka, zasiadłszy sobie wygodnie na przyźbie polskiej chaty w chłodny wieczór gorącego dnia majowego. W gęstwinach ogrodów słowik zaczyna swe pierwsze pokląskiwania i zaloty, cudnymi trelami wydłużane, aż do brzasku dnia następnego. Kończę swe notatki w cichej poświacie księżycowej, której rozproszyć nie może żółty blask kaganka, tlejącego nad twardym żołnierskim łożem, mogącym stać się już jutro łożem śmiertelnym!

16 maj. Jar nad Koprzywianką.

Kręcimy się koło tego Staszowa nie mogąc doń trafić. Upał dokucza. Przeszliśmy rzekę Czarną wychodząc znów na szosę. Nie dochodząc do Bogorii skręcamy na prawo, bo przed nami podobno most na Koprzywiance jeszcze nie gotowy, ale myślę, że nas Austriacy do miasteczka wpuścić nie chcą. Przechodzimy wreszcie jakieś kładki pod Wiśniową i po uciążliwych utykaniach wśród jarów i wąwozów odpoczywamy około godziny na dnie jakiegoś parowu.

Słychać już huk dział przed nami. To pułk Berbeckiego atakuje Moskali. Szarże gramolą się na brzeg parowu — lornetują, badają mapy i okolicę. Według ich wyjaśnień, rozwija się właśnie bitwa w dolinie Koprzywianki, w której i my możemy wziąć udział.

Słońce piecze niemiłosiernie.

Po nadejściu kuchni otrzymujemy obiad i spożywamy go w głębi parowu, po czym rozbieramy z kozłów broń i maszerujemy głębokim jarem z góry na dół do wsi Konary, którą pośpiesznie mijamy. Armaty grają tuż tuż, a my gnamy prawie biegiem upadając po prostu ze zmęczenia.

Wpadamy do wsi Domaradzice, gdzie przed każdą chałupą stoją baby i wyrostki z wiadrami i dzbankami, pełnymi wody. Ale rzadko kto wysuwa się po nią z kolumny, mi-

mo szalonego pragnienia. Nawet maruderów nie ma, cały batalion już jest owładnięty gorączką bitwy. Każdy żołnierz, czarny od kurzu, ze strugami potu, ściekającego po twarzy, baczy teraz tylko na to, aby dotrzymać kroku postępującej czwórce na przedzie.

Spadamy na łeb na szyję w jakąś szeroką dolinę, obrzeżoną wysokopiennym lasem. Las ten grzmi od wystrzałów, prawdopodobnie nasze baterie biją. Moskale usiłują je wymacać, bo niekiedy trzaska nad drzewami szrapnel nieprzyjacielski.

Słońce już zachodzi, posuwamy się teraz wolniej brzegiem lasu, wreszcie zagłębiamy się weń i zapadamy kompaniami w jakiś głęboki jar, rzadkimi drzewami porosły.

Strzelanina nie ustaje, słychać nawet kule karabinowe, jak górują w rozmaitych kierunkach, widocznie linia bojowa łamie się gdzieś i zagina. Byle nas tylko nie wymacali granatami, bo coś za blisko pozycji artyleryjskich nas umieszczono, możemy tu nawet nocować, bo chyba Berbecki da sobie sam radę!

Tymczasem po zapadnięciu nocy kilka granatów rzeczywiście wyrżnęło w nasz jar, a gdzieś na przedzie zakotłowało się nagłym ogniem karabinowym jak w garnku. Chwilowe zamieszanie i szamotanie się koni na dnie jaru. Ktoś został ranny, bo łapiduchy pędzą w tę stronę. Ale nie, to tylko koń ppor. Bratro ugodzony został odłamkiem. Przezorny Satyr przesunął cały batalion bardziej na prawo, gdzie spokojnie przetrwaliśmy do świtu. Po spożyciu konserwy na zimno zdrzemnąłem się trochę na murawie.

17 maj. Gorzków.

O świtaniu cofnięto nas na górkę, pół kilometra od lasu, do jakiejś nędznej wioszczyny. Zaraz za lasem ma się znajdować słynny Ujazd, dla zwiedzenia którego udało się kilku kolegów. Czuję się tak zmęczony i rozbity, że walę

się w jakiejś komórce na gołą ziemię i przesypiam wraz z resztą wiary dobrych parę godzin.

Zbudził nas rozkaz szykowania się do wymarszu. Nie zdążyliśmy nawet kawy ugotować. Szarże nagliły do pośpiechu, mówiąc, że 2-gi pułk się cofa, zmuszony do tego przez „pepiczków", których cały pułk częściowo zwiał w nocy, częściowo przeszedł na stronę Mochów. Rzeczywiście, w północnej stronie słychać charkotanie karabinowe, przeplatane głuchymi detonacjami armatnich pocisków.

Stanęliśmy żywo na zbiórkę, gdzie nam kazano złożyć w kozły broń i czekać na oficerów, których dowódca batalionu wezwał na odprawę. Po długiej chwili wraca Rzecki z dowódcami plutonów. Mówi nam, że pójdziemy w tył do Gorzkowa, jako oddział wydzielony, do korpusu arcyksięcia Piotra Ferdynanda, którego 25-ta dywizja piechoty została rozbita. Nasz baon ma ratować kiepską sytuację „sprzymierzonych" na tym odcinku i zapchać jakąś lukę. Nie bardzo nam się podoba to oderwanie od macierzystej brygady. Maszerujemy jednak w milczeniu jakimiś polnymi drogami. Wreszcie stajemy w Gorzkowie. Satyr, przed rozejściem się na kwatery ma do nas przemowę, w której odwołuje się do naszej ambicji żołnierskiej i żąda bezwzględnego posłuchu, zaznaczając surowo, że wszelkie objawy nieposłuszeństwa karane będą na miejscu przez doraźny sąd polowy.

Miła perspektywa współpracy z Trepami już przez to samo przemówienie naszego dowódcy zarysowuje się wyraźnie przed nami, przygnębiając nawet niektórych, choć na ogół wiara stara się „trzymać fason" i nie poddawać żadnym zwątpieniom.

Co będzie, to będzie. Na szubienicę przecie nie idziemy.

Kozacy, których się „sprzymierzeni" tak panicznie obawiają, dla nas właśnie stanowią ów pożądany kąsek. Coś

uszczknąć z niego potrafimy tak dla chwały naszego baonu, jak i dla dogodzenia swej ambicji żołnierskiej, do której się Satyr niepotrzebnie odwołuje.

18 maj. Radostów.

Niech diabli wezmą taki marsz!

Po bezdrożach, polnymi ścieżynami pędziliśmy na złamanie karku w samo południe. Przy piekielnym upale i nadmiernym obciążeniu, bo na pierwszym postoju, gdzie obiad wydano już o 11-tej, zafasowaliśmy resztki taboru błąkającego się 8-go czeskiego pułku, który poddał się nieprzyjacielowi. Kilku taborytów Czechów, obawiających się represji ze strony wojskowych władz austriackich, oddało nam z radością swe ładowne wozy, pełne żywności, byle tylko wziąć ich pod swą „potężną“ opiekę. Że zaś leguny rade były płatać figle Trepom, gdzie się tylko dało, przestroili w mig Pepików w swoje maciejówki, powiększając w ten sposób stan ludzi, koni i wozów. Ale, ponieważ marsz był bojowy, a sytuacja niezbyt wyraźna, nie można było wlec ze sobą wozów nadmiernie obładowanych. Z rozkazu Satyra opróżniono je, wywalając całą zawartość wprost na drogę. Z pękatych worów posypały się w kurz wioskowy różnego gatunku kasze, mąka, groch, fasola. Wiara rozbierała chleb, konserwy, paczki kawy, cukier, sucharki, papierosy, sardynki, czekoladę. Krągłe sery śmietankowe dzielono bagnetami. Oficerskie salami łamano na kolanie. Zanurzano manierki w rozbitych beczkach z rumem. Gdy się z tym załatwiono, na pozostałe resztki rzucił się tłum wiejskich bab i wyrostków, zbierając w płachty, worki i koszyki mąkę, kaszę i cukier, pomieszany z pyłem.

Nabrałem pełny plecak samych specjałów i już na następnym odpoczynku musiałem usunąć część balastu. Inni wyrzucali w rów przydrożny bochenki chleba i woreczki sucharów. Jeden tylko Bąk ze swym ogromnym plecakiem

nie tylko nic z niego nie ujmował, ale zbierał porzucone przez innych sucharki i przeżuwał je w czasie marszu mrucząc z zadowolenia. Zaś Wuj, objadłszy się nareszcie do syta, puszczał swoim zwyczajem, zdradziecko i pocichu, duszące finfy pod nos postępującemu za nim w drugiej czwórce obywatelowi Dziukowi. Dziuk się irytował i wymyślał Wujowi, zaś ten, stuliwszy uszy, trawił w dalszym ciągu i robił swoje.

— Żeby nie ten dech, toby człowiek zdechł!

Trudno się sprzeciwiać prawom natury. Wuj ma żołądek zakwaszony rosyjskim kapuśniakiem z czasów swej siedmioletniej katorgi więziennej, więc go też bierzemy stale w obronę i nie damy postponować nikomu. Zdzich Rosołowski, któremu często się „przychodzi“ sypiać razem z Wujem, kładzie to na karb jego starych kości, z których, jak powiada, próchno się już sypać zaczyna.

Przekomarzania wnet ustały, gdy kurz obsiadł spękane od spieki wargi, zaparł dech w gardle, a pot kroplisty jął zalewać oczy.

Wiara ścisnęła zęby i maszerowała dalej w milczeniu z jakimś tępym, wściekłym uporem.

Jeden Pecykiel nie dawał za wygraną i mełł stwardniałym językiem słowa bez związku i treści, aż zniecierpliwiony Tomaszewski odwrócił się i huknął groźnie:

— Obywatelu, milczeć!

Milczeć!

Dobre sobie!

Można słońce wstrzymać w biegu, jak Kopernik, ale kazać milczeć legunowi i to w chwili, gdy go nagła krew zalewa, na to trzeba być nie tyle kapralem, ile aniołem. Samego diabła weźmie za rogi ten, który ulżyć sobie potrafi w nieszkodzący zresztą nikomu sposób puszczania na wiatr swych słów gderliwych!

Toteż Pecykiel zareagował wnet wyraźną niekarnością.

— Oho, milczeć! — Zaraz milczeć! — Sam milcz, chłystku jeden, skoro ci język do podniebienia przyrósł, a mnie się nie chce i już!

Wrażliwy wielce na zachowanie swej powagi dzieciuch Tomaszewski zaperzył się i przyskoczył do pyskującego Pecykla:

— Obywatelu Otto, zgłosicie się do karnego raportu!

— Ojej, zgłoszę się, czemu nie?

Tu w sprawę wdał się ppor. Ceceniowski, chcący zlikwidować przykre zajście w sposób bardziej pedagogiczny.

Zwrócił nagle swą dobrotliwie uśmiechniętą twarz, mokrą od wysiłku, w stronę plutonu i zaproponował:

— No, chłopcy, możebyśmy tak coś, panie, zaśpiewali?

Śpiewać? — Teraz? — W tym kurzu i spiekocie, gdy trudno ślinę na wargach utrzymać, gdy karabin ramię obrywa, a troki od plecaka bolesne rany żłobią? — Gdy całe ciało chyli się w dół, a skronie huczą niby słupy telegraficzne, gdy wiatr rozpiętymi na nich drutami miota?

Zdumienie powinno ogarnąć szeregi, a jednak staje się oto rzecz dziwna. Prostują się nagle obolałe ramiona, prężą karki zesztywniałe, spocone dłonie ujmują silniej pasy od karabinów i bojowa pieśń żołnierska wybucha. Przez setki gardzieli natychmiast w locie chwycona, tłucze się czas jakiś w wąskim drogi rozdole, aby już ze wzgórka rozlać się szeroką falą po łęgach, polach i pastwiskach zwabiając ku drodze zajętych w polu wieśniaków:

„Nasz porucznik pójdzie z nami,
„Aby walczyć z Moskalami.
„Naprzód bracia, dalej wraz!
„Od samej Warszawy, aż do Petersburga,
„Za Moskalami marsz, marsz, marsz!

Gdy dalsze wydobywanie głosu z piersi stało się już fizyczną niemożliwością, wygwizdywano zwrotki pieśni z jakąś upartą zawziętością.

Gdzieś w tyle kolumny odezwała się harmonia. To Szydło, oddawszy karabin sitwesowi, wycinał na swym instrumencie skoczną polkę VI batalionu, przez siebie skomponowaną.

Rozprężały się nogi i ramiona, szara kolumna zdawała się płynąć w tumanie kurzu, zostawiwszy daleko poza sobą kuchnie i wozy taborowe nie mogące nadążyć za nami po wąskich i wyboistych dróżynach kieleckiego pogórza.

Gdy harmonia zachrypła, od tyłu kolumny powiała nowa piosenka:

„Tra la la,
„Szydło na harmonii gra!
„Tra la la!
„On przebierać klawo zna!
„Tra la la!
„Baw się, bracie, z nami wraz,
„Skoroś dzisiaj na zabawę
Do legunów wlazł!“

Tak połknęliśmy kilka najgorszych kilometrów drogi minąwszy dwie nędzne wioski. Krótki wypoczynek i dalszy marsz, możliwy teraz przy obniżeniu się tarczy słonecznej ku zachodowi.

O zmroku przybywamy na kwatery.

Wieś rozrzucona, gospodarze biedni. Na szczęście mamy tyle zapasów, że i dzieciska, zaglądające nam w gęby, pożywić się mogą.

19 maj. Wola-Łagowska.

Wymarsz o 4.30 po takich samych wertepach jak wczoraj. W Zaolesiu odpoczywamy pod wsią i pijemy kawę. Sa-

tyr się kręci między nami, zły jakiś i nachmurzony. Denerwuje się, bo nie ma meldunków z 3-ciej komp., która jeszcze wczoraj odeszła na placówki okopawszy się na wzgórzu na południe od wsi Winna. Irytuje się też z powodu Austriaków, którzy nie zajęli jeszcze wyznaczonych im pozycji na linii Łagów—Raków. Wystawiają przez to naszą 3 kompanię na niebezpieczeństwo okrążenia przez Moskali.

— A to dziady! — burczy Satyr pod adresem „sprzymierzonych".

— Ubrdali sobie, że nieprzyjaciel, który jest w pełnym odwrocie, ma zamiar atakować nas przeważającymi siłami. A to tylko garść kozaków, osłaniających odwrót, z paroma armatkami, plącze się przed nami! Łączności nie zachowują, musimy marnować niepotrzebnie drogi czas!

Wreszcie meldunki nadeszły. Zjawił się też konny ordynans z brygady, który musiał przywieźć coś dobrego, bo się Satyr nagle rozkrochmalił i wysłał silne patrole w kierunku wsi Bardo i Sadków.

Stoimy w dalszym ciągu i badamy mapę, którą Rzecki rozłożył na murawie sprawdzając kierunek wedle kompasu. Robimy w swych szkicownikach i notesach odpowiednie notatki, na wszelki wypadek, wreszcie ruszamy powoli w ślad za kwatermistrzami, którzy udali się do Barda. Przecinamy trakt łagowski i ponad ślicznym lasem wychodzimy na wyżynę, poprzerzynaną w rozmaitych kierunkach głębokimi jarami i szerokimi wąwozami.

Około godziny 1-ej wkraczamy ze śpiewem do Barda. Śliczna wieś kościelna, malowniczo rozrzucona po wzgórzach i wąwozach, z zagrodami świadczącymi o zamożności i dobrobycie tutejszych kmieci. Wylegli oni zewsząd całą gromadą, uprzedzeni snać przez kwatermistrzów. Na placu przed kościołem zestawiliśmy broń w kozły, złożyliśmy rynsztunki. Satyr wraz z dowódcami kompanii odjechał zaraz na plebanię, zaproszony przez proboszcza na obiad. Wiara

wmieszała się w tłum wieśniaków, obserwujących rozradowanym wzrokiem nasze manipulacje żołnierskie.

— Ale to panom sprawnie idzie! — odzywa się poważny wąsaty gospodarz w sukmanie.

— Jaz się dusa raduje, takie to wsyćko młode i chwackie. Nie dziw, że ruski przed woma ustępuje!

— A dawno stąd odeszli Moskale?

— O, dyć jesce wcoraj były tu kozoki. Szukali nasego księdza, co się chudzina przed nimi w Szumsku chował.

— A cóż to takiego wasz ksiądz im zrobił, że go szukali?

— A dyć on już zeszłej niedzieli przepowiadał z ambony, że idom polskie strzelcy, sielne wojoki, co noma Polskę wywojują wnet, jako ze jus śmat polskiej ziemi zajeni i jaz za Wisłę pójdom śpiewający, bo snać moc wroga truchleć zacyna. I modlić się noma przykazował za waju w kościele, som na kolana padając przed wielkim ołtarzem, i przyjąć godnie wojsko polskie polecał.

— Dobrego księdza macie.

— Boga-ć tam, panowie! Dobry ci on pasterz, to tys w posanunku wielgim go momy. Ustrzeglim tys w porę i przed ruskimi śpionami do Szumska wywieźli cichaczem, aliści dzisiok zrana piechtą przylecioł ano tyli świat i ranną msę na intencyją panów odprawić jus zmógł. O, co dobry pasterz, to dobry!

— To tu szpiedzy są między wami?

— Toć nie nasi, wioskowi, ino przybłędy jakieś, co się przy wojsku kręcom. Cywile jakoby, podwody se dować kazują, papiry jakieści pokazując, i tak się rządzą, jakby na nich cas jesce nie przyseł.

Tu drugi kmieć się wtrąca do rozmowy:

— Tam jegomość z panami oficyrami se ugwarzają, a wojsko głodne stoi i pragnące. Kobiety nase cosik marudzą, choć sołtys przykazywał...

Ale już z opłotków wioskowych, spomiędzy drzew i pagórków, zdążał korowód niewiast młodych i starszych,

z uczepionymi u kiecek dzieckami, dźwigających wiadra, dzbany, dzieże zsiadłego mleka pełne i kobiałki, białym płótnem pięknie okryte.

Zaczął się poczęstunek, godny Rzepichy, tuż pod cienistymi drzewami kościelnego obejścia. Było wszystko: ser i śmietana, masło, chleb świeży, jaja na twardo, mleko słodkie i zsiadłe. Wiara używała, choć kuchnie zajeżdżały właśnie z góry z chrzęstem i hałasem na jakieś podwórko z gotowym żołnierskim obiadem.

Ugasiłem pragnienie dwiema kwartami chłodnego mleka i zabierałem się właśnie do potężnej krajanki sera, gdy do mnie i Jasia Jurkowieckiego, który ze mną siedział, podszedł stary, gładko wygolony, gospodarz w granatowej kapocie, czerwonym szerokim pasem w biodrach opasanej, otwartej na przedzie. Takich kapot niewiele się już spotyka w Kieleckiem, toteż nastawiłem się przyjaźnie do podchodzącego. Ów zaś wyciągnął swą szeroką spracowaną prawicę do nas i uścisnął mocno podane mu ręce:

— Powitać panów! A to tym serem się dusita, kieby indyki na Wielkanoc. U mnie w chałupie garniec miodu majowego czeka, z pierwszego zbioru, odcedzony, jak się patrzy. Miło będzie naszych strzelców przyjąć. Toć niedaleko, starsi pozwolą!

I patrzył w nasze twarze pytającym wzrokiem, na dnie którego czaiła się obawa odmowy.

— No cóż, chyba pójdziemy? — zwróciłem się do Jurkowieckiego, który kiwał głową. — Zaczekajcie chwilę, panie gospodarzu, aż ja pozwolenie otrzymam.

— Dobrze, panie. Toć niedalecko, hań na tej to górecce!

Odszukałem Ceceniowskiego, siedzącego na kłodzie drzewa w otoczeniu gromadki bab i dziewuch i proszę o pozwolenie odłączenia się na chwilę od plutonu.

— Dobrze, idźcie, byle nie na długo, bo pewnie wkrótce ruszymy. A karabiny ze sobą zabierzcie!

Wziąłem swój i Jasia rynsztunek i, poprzedzani grzecznie przez chłopa, podążyliśmy za nim ścieżką przez pola, a później na przełaj ku owej góreczce, która nie była znów tak blisko, bo trzeba było przejść kawałek drogi dolinką. Po drodze przyczepił się do nas kapral Śliwa z karabinem tylko, bez plecaka.

Kmieć zdjął z głowy szeroki słomiany kapelusz i ocierał rękawem kapoty kroplisty pot z czoła.

— Gorąc taki, aże strach! Musi deszcz będzie, bo się ano chmury zbierajom.

I wnet dodał szybko, jakby w obawie, że mu uciekniemy:

— Ale to nic. Jak będzie burza, to i tamci przecekać musą kajś pod dachem. Zdążyta!

I wiódł nas dalej wśród wykłaszających się już łanów żyta ku swej zagrodzie, ukazując z dumą niewielki sadek i kilkanaście uli, rzędami wśród drzew ustawionych.

— To moja pasieka. A ot, i dziouchy wyglądają!

Dwie dziewczyny jak łanie śmignęły na nasz widok z ogródka do sieni.

— Baba mi nieco słabuje, to musą pilnować chałupy. Prosimy pieknie panów!

Weszliśmy do przestronnej widnej izby, w której górowały dwa czysto zasłane łóżka ze stosem pierzyn i poduszek. Pod ścianą, na szerokiej ławie z oparciem, leżała kobieta lat 40-stu i uśmiechała się do nas radośnie.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — wygłosiłem powitanie.

— Na wieki. Powitać! O mój Jezusiecku, toć to naprawdę nase wojsko, a jakie urodne! Dzieuchy, nie kryjta się w alkirzu, wynośta, co Bóg dał!

Rozebraliśmy się z rynsztunków, składając ją na ławie pod oknem. Gospodarz tymczasem znosił stołki z alkierza.

— Co wam to, matko, chorzyście? — zagadnąłem gospodynię.

— Iii, nie wielga rzec — wyręczył ją w odpowiedzi gospodarz. — Zwichnęła se ano nogę w kostce. Jus jest zestawiona, ale swoje odleżeć musi. Siadajta, mili goście!

Pokazały się wnet „wstydające się“ dziewczęta, prawdziwe wiochny, grube w pasie, tęgie w biodrach. Śliwie oczy na wierzch wylazły, że i języka w gębie zapomniał, on, człowiek „miastowy“, choć jąkała. Musiałem mówić za trzech, z czego korzystali skwapliwie moi koledzy, pałaszując z fajansowych w kwiaty talerzy różne wiejskie przysmaki, do których noże i widelce okazały się zbędne. Wystarczyła łyżka blaszana i własne „paziory“, z których podróżnego brudu zmyć nie było czasu.

Dziewczęta dolewały coraz to mleka, to śmietany i pierzchały do komory, skąd wyściubiały dopiero ciekawe noski, strzygąc oczami z uciechą.

— Cie, sikory! — podkpiwał stary ojciec. — Rwały wom się, rwały do onych wojoków, a kiej są jus w chałupie, to się wstydajom, głupie. Dyć chodźta do kompanii!

Więc „sikory“ wysunęły się pod ścianę i, miętosząc fartuszki w dłoniach, coraz kryły w nich zapłonione twarzyczki i wybuchały głośnym, radosnym chichotem.

— Głupie to, z dala od ludzi chowane — usprawiedliwiał je rozochocony ojciec. — Ale wystować z chłopokami po miesiącku w sadzie to jus umią, a ino!

— A juści! — odgryzły się dziewuchy i zwiały do komory, ale tu już matka ujęła się za nimi:

— Cichaj, stary, nie wygaduj ano byle cego! Dziouchy, jak dziouchy, trudno rozumu w nich należć, ale przecie tys nie ostatnie. Gospodarskie córki, a ino! I zeby tak przy obcych ludziach — —

— Toć nie obcy, ale swoi, rodzeni, rozumią, ze jo ino śpasuję. Chłopoki ze świata, nie bój się!

I nuż nas rozpytywać, skąd który pochodzi.

Uczta dobiegała końca, kiedy w izbie nagle pociemniało i na dworze lunął rzęsisty deszcz. Wprawdzie nie trwał

długo, ale zatrzymał nas w chacie przeszło godzinę. Gospodarz napełnił nasze manierki złocistym miodem, pochyliliśmy się kolejno do rąk chorej gospodyni, czym się poczciwa kobiecina rozczuliła do łez:

— Niech wos Najświętsy Pon Jezus i ta Matka Boska ma w swojej opiece i od wsyćkiego złego uchowa! Moiściewy, jakie to gładkie, a grzecne, a pańskie! Nase wojoki kochane!

Dziewuchy znów wybiegły z komory, żegnając się z nami „za rękę" i pochlipując z cicha na progu. Stary pasiecznik odprowadził nas do wrót zagrody i serdecznie pożegnał:

— Bijta dobrze tych Kacapów, a jak odbijeta Polskę, wsyćkie chłopy ławą pójdą za wami!

Gdyśmy się nieco oddalili na pole, Śliwa mruknął:

— Ja-aki mądry! Jak my o-odbijemy Polskę, to on pójdzie z nami, teraz woli swojej pa-asieki pilnować!

— Cóż chcesz, mój kochany? Chłop nasz zasmakować we własnej Ojczyźnie czasu nie miał. Musi wpierw przekonać się na własne oczy, że ta nowa Polska to jego.

Ale Śliwa się zaperzył:

Jak robo-ociarze krew przelewali w dziewięćset piątym ro-roku, to chłop ze stodoły wyglądał i pytał, czy mu już popodatki zmniejszyli.

Tu się poślizgnął na ścieżce i byłby upadł, gdybym go w porę nie podtrzymał. Teraz Jasio z kolei głos zabrał:

— Ale wyżerka była, co? Mnie mało brzuch nie pęknie! Gdyby wszyscy chłopi chcieli iść na wojnę, któżby żołnierzowi tak dogadzał, jak dziś w Bardzie, co?

Dalsza dyskusja była niemożliwa, bo oślizgły po deszczu grunt wymagał skupienia uwagi. Człapiąc po błocie dobrnęliśmy do wsi, ale już z daleka spostrzegliśmy, że batalion odszedł z miejsca postoju. Nawet taborów nie było.

Dwóch napotkanych parobczaków, z którymi Śliwa przystanął i zawiązał rozmowę, objaśniło nas, że wojsko poszło do Woli-Łagowskiej.



... Ale wyżerka była co? ...

Nie mogąc oderwać Śliwy od nowych kompanów ruszyliśmy obaj z Jasiem przed siebie w kierunku Woli. Pomimo tego, że odległość tej wioski od Barda była niewielka, rozmiękły i lepki grunt utrudniał nam marsz tak, że dopiero ciemnym wieczorem dotarliśmy do naszych taborów, a z nich do swego plutonu, rozmieszczonego w jakiejś szopie na ciasnym podwórku.

Druga kompania wystawiła silne placówki. Od nas poszły patrole w różne strony. Mamy ostre pogotowie ze względu na możliwy napad kozaków, którzy dziś jeszcze tu gospodarowali.

20 maj. Okopy pod Wolą-Łagowską.

Po wczorajszym deszczu powietrze się oczyściło i pogoda jest prześliczna.

Wysłane w nocy patrole stwierdziły obecność kozaków w okolicy. Satyr się niecierpliwi, że Austriaków dotąd nie ma. Moglibyśmy iść naprzód sami, ale brak łączności na to nie pozwala.

Rano po śniadaniu ruszyliśmy w pole i przez dwie godziny łaziliśmy w kolumnie tam i z powrotem po falistym terenie, brodząc w wysokim zbożu, lub utykając po miedziach i zagonach. Dowódcy nasi szukali dobrego pola ostrzału. W przeciągu niespełna godziny mieliśmy okopy gotowe, głębokie i wygodne. Zabrano się do maskowania wału świeżo wyrzuconej ziemi w miejscach, bardziej odkrytych.

Nieprzyjaciela jak gdyby nie było.

Patrole nasze lustrują stale najbliższe parowy i zagłębienia terenu, aby się nie dać kozuniom zaskoczyć niespodzianie.

Jedna kompania jest we wsi w odwodzie, a my się garujemy w okopach, pochłaniając zapasy, zawarte w plecakach, i trawiąc je w zupełnym spokoju ducha i ciała.

Obiad przyniesiono ze wsi. Wuj zjadł swoje przepisane dwie porcje, więc sitwesy, obawiając się podgazowania, omijają z daleka jego tyły woląc atakować od frontu. Ale Wuj w czasie trawienia jest melancholijnie usposobiony i na prowakacyjne uwagi nie reaguje puszczając mimo uszu nawet drażniące go zwykle aluzje do swej przeszłości bojowca. Dominus Vobiscum porządkuje i przegląda swoją pocztę z nad Nidy, wagi kilku kilogramów, i zabiera się do pisania listów na zapas. Reszta robi toaletę czyniąc pilne poszukiwania w szwach przepoconej bielizny. Pecykiel, po odbytym karnym raporcie i upomnieniu od kompanijnego, lata jeszcze pilniej niż zwykle za nowinami, znosząc ze wsi przy okazji jaja, gotowane na twardo. Skończyłem już pisanie pamiętnika za ubiegłe dwa dni i rozkoszuję się teraz przepięknym krajobrazem, jaki się roztacza dokoła nas.

Śliwa nie wrócił.

21 maj. Atak na Wszachów.

Wczoraj o godzinie 16-tej opuściliśmy okopy pod Wolą-Łagowską i noc spędziliśmy na placówce w Duraczowie po oczyszczeniu terenu od kozaków, którzy cofnęli się za las do Wszachowa.

Austriacy podciągnęli za nami i zaraz pokazali, co umieją, ostrzeliwując artylerią nasze patrole w lesie przed nami. Na szczęście bez strat. 3 kompania też opuściła pozycje pod wsią Winna i znalazła się na prawo w Rudzie, także na placówkach.

Dziś o godzinie 9-tej rano kompania nasza ruszyła pierwsza do ataku na Wszachów.

Obeszliśmy las, rozwinąwszy się w linię tyralierską, z ubezpieczeniami bocznymi. Patrole, wysłane naprzód w kierunku na przysiółek Masiówki-Wszachowskie, zostały ostrzelane przez kozaków cofających się pośpiesznie przed naszym frontem w kierunku wschodnim.

Znalazłem się na samym końcu naszego prawego skrzydła, ostrzeliwanego silnie przez artylerię rosyjską. Pociski szrapnelowe pękały z hukiem i trzaskiem to przed nami, to znów w tyle.

Posuwaliśmy się szybko naprzód przebiegając sekcjami. Nieprzyjaciel starał się regulować ogień, ale nie mógł się jakoś wstrzelać w ruchomą linię naszych strzelców, zajmujących coraz to nowe punkty w terenie.

Zbliżaliśmy się już do wsi, gdy mi podano od lewego rozkaz, abym z trzema ludźmi nawiązał łączność z Austriakami na prawo. Wziąłem Grzebyka, Skowrona i Gromana i odbiłem na prawo szukając wzrokiem tyraliery austriackiej. Ale ta ugrzęzła w tyle za pagórkiem, skąd dochodziły do naszych uszu tylko wściekłe wrzaski niemieckiej komendy:

— Vorwärts! — Nieder! — Auf!

Trzeba było zająć taką pozycję, żeby nie tracić z oczu ani swoich, ani Austriaków. Tych ostatnich wyczuwaliśmy na razie słuchem, nie było potrzeby zbliżać się do nich, wypadało zaczekać.

Tymczasem nasza linia posunęła się o jakie sto metrów naprzód, stale w wianku dymków szrapnelowych. Byliśmy chwilowo zabezpieczeni od ognia działowego, powstaliśmy więc z ziemi, obserwując atak naszej piechoty, zajmującej szybko i sprawnie lewe, dość rzadko rozrzucone, zabudowania wsi Wszachów. Widzieliśmy, jak po zajęciu Masiówek linia nasza poczęła się zaginać, prawdopodobnie w celu okrążenia znajdujących się we wsi kozaków i ześrodkowania natarcia w punkt przez nich zajmowany, gdzie już biły z lasu austriackie baterie.

Możeby się ten manewr udał, gdyby nie powolność Austriaków, którzy teraz dopiero wysunęli się zza pagórka. Kozacy mieli wskutek tego czas do wymknięcia się bokiem ponad rzeczkę w stronę Baranówka. Zajęli brzeg lasu mając pod ostrzałem właściwą wieś Wszachów.

Po wysunięciu się Austriaków na widoczny teren zacząłem posuwać się ze swoimi ludźmi naprzód. Minęliśmy kilka chałup, których drzwi były zaparte, a okna zasłonięte i dopadliśmy drogi Iwaniska-Wszachów. Właśnie w tej chwili na austriacką „schwarmlinię“ zaczęły się sypać rosyjskie pociski. Przycupnęliśmy w wiśniowym ogródku pod jakąś biało bieloną chatą. Mogliśmy objąć wzrokiem całą panoramę tej części bitwy.

Przed nami w dole rozciągała się zielona łąka, za którą równolegle do naszej drogi czerniała smuga lasu. Od tego lasu aż do nas, zajmując całą szerokość łąki, posuwała się zwolna tyraliera tzw. „deutsch-majstrów“, najwyborowszej piechoty austriackiej, złożonych z samych Niemców wiedeńskich. Szli jak na paradzie, zachowując odpowiedni dystans i równanie, i trzeba przyznać, że ten wyborowy żołnierz nie lękał się śmierci. Ale gdybym tak ja był arcyksięciem Piotrem Ferdynandem, nie pozwoliłbym marnować w tak widoczny sposób ludzi.

Linia austriacka już prawie równała się z nami, znikając niekiedy w wysokiej i gęstej trawie, aby powstać za chwilę niemal równocześnie. Widać było, że jest to jakaś straszliwa machina, ducha i mózgu pozbawiona, nakręcona i puszczona w ruch potężna siła. Ogień nieprzyjacielski przesunięto nagle bliżej nas, trzasnęły nad naszymi głowami dwa szrapnele, obsypując nas liśćmi i drobnymi gałązkami wiśniowymi, i w tej samej chwili uczułem piekący ból w biodrze. Sięgnąłem ręką w bolące miejsce i wydobyłem z fałdów sukna dwie okrągłe kulki ołowiu, jeszcze gorące. Sparzyły mnie tylko, utraciwszy widocznie swą siłę przy zetknięciu się z gałęziami drzewa.

Pokazywałem właśnie kolegom dwie wypalone dziury w spodniach, gdy na drodze naprzeciw nas stanął nagle austriacki kapitan.

— Kto tu, legioniści? — Gdzie jest wasze prawe skrzydło? — odezwał się po polsku.

Wskazałem mu kierunek, meldując zarazem, że jesteśmy patrolem łącznikowym.

— To doskonale. A, psiakrew!

Znów trzasnęły dwa szrapnele i kapitan padł jak długi w koleiny zapylonej drogi.

Zerwał się jednak natychmiast, otrzepał z kurzu i, zmieszany trochę naszą niewzruszoną postawą, zaklął znowu głośno:

— Niech to jasny szlag trafi! — Mam już siedmiu zabitych, osiemnastu rannych!

I pobiegł śpiesznie dalej wydając głośną komendę:

— Lings um! — Lings um!

— Lings um! — powtórzyli jak echo postępujący przed linią podoficerowie i cała tyraliera austriacka zwróciła się zaraz bokiem do nieprzyjaciela.

Patrzyłem z podziwem za kapitanem, prawdopodobnie dowódcą kompanii. Myśmy swe straty opłakiwać zwykli dopiero po skończonej bitwie. W samym natarciu nie widziało się często nawet padającego tuż obok towarzysza, od tego istnieją przecież w wojsku łapiduchy!

Trzeba było teraz i nam przesunąć się w lewo, więc pobiegliśmy chyżo między ogrodami pod ogniem trzaskających wciąż szrapneli. Grzebyk warczał w biegu pod adresem równającego znów rzędy swoich kapitana:

— Żebyś się był pośpieszył i zajął las, mielibyśmy kozaków w potrzasku!

Wieś już była prawie zajęta. Świstały jednak kule karabinowe od strony Baranówka. To kozacy pod osłoną lasu ostrzeliwali nas, zanim austriackie baterie walić w nich zaczęły. Wkrótce umilkli, zamilkła też i artyleria nieprzyjacielska, prawdopodobnie Moskale wycofali się.

Dołączamy do swojej kompanii i okopujemy się pod chałupami wsi Wszachów.

22 maj. Okopy pod Wszachowem.

Mamy wspaniały ostrzał. Przed nami pole, a dalej, o jakieś pięćset kroków, smuga lasu Łapiguz. Z tego lasu zwiali wczoraj kozacy. Poszedł za nimi z patrolem ppor. Dubiel i stwierdził obecność Moskali we wsi Janczyce, skąd został ostrzelany ogniem armatnim i karabina maszynowego.

Pewnie będziemy w nocy nacierać na tę wieś. Na razie pitrasimy sobie w chałupie kartofle z konserwą. Czekamy powrotu „murzynowatego Otella" — Michalskiego, który wraz ze Zdzichem Rosołowskim, Prybem, Bąkiem i Pawełkiewiczem poszedł na patrol; otrzymał rozkaz dotrzeć do szosy opatowskiej i zebrać najdokładniejsze wiadomości o Moskalach.

Jakoż wrócili wszyscy pod wieczór, przynosząc nie tylko ciekawe wiadomości, ale i języka w postaci trzech sołdatuszków. Wzięli ich do niewoli w Piórkowie za przyczyną dziewczynki wiejskiej. Zawiadomiła ich, że we wsi są Moskale i wskazała odosobnioną chatę, w której wypoczywali rosyjscy maruderzy. Jeńcy potwierdzają w zupełności mniemania Satyra o położeniu nieprzyjaciela: należą do 10 pułku 3 dywizji rosyjskiej, która cofa się aż na linię Wisły. Patrol nasz stwierdził, że szosa opatowska jest wolna. Ostatnie oddziały rosyjskiej piechoty przeszły jeszcze wczoraj na Opatów. Kręcą się jeszcze tu i ówdzie kozacy, ale ich obecność dowodzi właśnie, że armia rosyjska jest w zupełnym odwrocie. Możnaby jej dopomóc, aby wiała prędzej, ale powściągliwość austriacka sprawia, że odwrót Moskali odbywa się w porządku i nie może stać się dla nich pogromem.

Śliwy jeszcze nie ma.

23 maj. Żerniki.

Mieliśmy w nocy nacierać na Janczyce. Dowódca 49 brygady austriackiej, w skład której wchodzimy obecnie, od-

rzucił propozycję Satyra. Dopiero dziś, po umajeniu okopów z racji Zielonych Świątek, około południa ruszyliśmy naprzód tyralierą, brnąc w powodzi falujących zbóż. Doszedłszy szybko do lasu Łapiguz zapuściliśmy się ostrożnie w jego gęstwinę. Rozchylamy bagnetami zwieszające się gałęzie leśnego podszycia i badamy uważnie każdą piędź ziemi przed sobą. Postępująca na przedzie 3 kompania zawiązała już bitwę. Las cały grzmi od wystrzałów, echem stokrotnym powtarzanych od drzewa do drzewa. Postępujemy powoli w drugiej linii starając się nie stracić ze sobą w gęstwinie łączności. Łańcuch strzelców rwie się co chwila. Granaty nieprzyjacielskie macają to tu, to tam. Ogłuszający huk i rozdzierający trzask pękających pocisków czyni z tego lasu istne piekło, w którym błądzą poszczególne sekcje doganiając się i przeganiając nawzajem. Wreszcie artyleria rosyjska bić przestaje żałując widocznie amunicji na ślepe cele. Tylko bór cały trzaska w dalszym ciągu ogniem karabinowym.

Las rzednieje. Wyrównujemy linię i przesuwamy się w lewo; jesteśmy ostatni na lewym skrzydle batalionu. Chwilę wypoczywamy w lesie, niektórzy zaczynają się okopywać. Poderwani rozkazem, ruszamy znowu naprzód i wychodzimy z lasu.

Przed nami na prawo w skos posuwa się 4 kompania z por. Pększyc-Grudzińskim na przedzie, który prowadzi natarcie ze zwykłą sobie sprężystością.

Artyleria nieprzyjacielska bije salwami. Kulki szrapnelowe podnoszą tumany kurzu przed i za nami. Do lasu umyka lekko ranny ppor. Borowicz. Odpoczywamy dłuższą chwilę w jakimś wąwozie. Słychać pisk przelatujących górą kul karabinowych. Denerwujemy się w męczącym oczekiwaniu. Wreszcie podciągamy się na jakiś pagórek, skąd biegiem na łeb na szyję pędzimy w dolinę. Serce łomoce w piersi, płuca nie mają czasu nabrać powietrza, padamy wyczerpani w zbożu. Kilka głębokich oddechów i znów pęd

naprzód za linią sekcyjnych. Drogowskazem jest szczupła postać Rzeckiego, nadającego na przedzie kierunek biegu wyrzutem ramion, sygnalizującego rozkazy kurczeniem lub podnoszeniem prawego przedramienia. Nieme te rozkazy podchwytuje w lot biegnący przed linią sekcyjnych na prawym skrzydle ppor. Ceceniowski. W gorączce bitwy nawet się w komendzie nie zacina, rzucając w tył na pluton przyciszonym głosem krótkie, urywane zdania:

— Padnij!

— Powstań!

— Naprzód, biegiem marsz!

Po każdej salwie armatniej przypadamy na chwilę do matki-ziemi i podrywamy się do dalszego natarcia. Tak minęliśmy wschodni kraniec wsi Baćkowice.

Odpocząwszy na dnie parowu przebiegliśmy odkryty pagórek, zapadając w łan zboża na wschodnim jego stoku. W dole przed nami widać skupioną wieś Żerniki, nad którą pękają różowiące się w świetle zachodzącego słońca dymki szrapnelowe. Widocznie nasi dotarli już do wsi, bo nie widać nigdzie 4-tej kompanii. Nasze lewe skrzydło wisi w powietrzu. Zaczynamy się okopywać. Kule karabinowe poczynają świstać coraz gęściej. To już nie kozacy, którzy zwykli strzelać seriami, ale regularna piechota.

Za chwilę ogień słabnie, podrywamy się znowu. Wianek dymków szrapnelowych rozwija się już na wschód i północ od Żernik. Nieprzyjaciel wycofuje się. Kule karabinowe gwizdać przestały, idziemy równą linią. Ppor. Kołodziejski, nowy dowódca 3-go plutonu, robi głośne uwagi skrzeczącym głosem. Podchodzimy ku wsi właśnie w chwili, gdy tarcza słoneczna chowa się za horyzont. Musieliśmy być widoczni, oblani z tyłu słońcem, bo pęka nam kilka szrapneli nad głowami. Strzały na przedzie rzedną pomału. Zajmujemy pustą wieś i zaczynamy w niej gospodarować.

Na froncie bojowym nastaje cisza, wypełniona we wsi żołnierskim rozgwarem. Na środku drogi, w miejscu naj-

większego skupienia chałup, leży trup ppor. Darochy z 4-tej kompanii, ze sztajerem w wyciągniętej ręce, oblany łuną pożaru palącej się sąsiedniej wsi Modliborzyce. Padł tu prawie przy końcu bitwy, wiodąc swój pluton, gdy już Moskale prali z bliska kartaczami. Podobno ranni zostali por. Grudziński i ppor. Dojan. Tak mówią sanitariusze, ściągający z pobojowiska rannych, których pomimo tak silnego ognia artyleryjskiego znalazło się zaledwie kilku. Zabitych, zdaje się, nie ma, oprócz ppor. Darochy, starego drużyniaka.

Następuje zbiórka naszej kompanii. Rozkwaterowujemy się we wsi plutonami. Z dołów i piwnic wyłażą cywile, ryczy przymknięte w oborach bydło. Nadciągają pomału kuchnie polowe, a wraz z nimi, o radości, przychodzi wóz pocztowy. Zaległości ogromne, bo od ruszenia z nad Nidy jeszcześmy poczty nie mieli.

Otrzymałem kilka listów. Odczytałem je na kwaterze, przesyconej swoistym zapachem dziegciu pozostałym po przebywających tu jeszcze przed godziną sołdatach. Wiara kicha na potęgę przeglądając przy kopcącym świetle lampki naftowej spóźnione gazety z krzyczącymi tytułami komunikatów wojennych i sprawozdań bojowych o klęskach Moskali.

Drugi pluton wysyła patrole dla nawiązania łączności z Austriakami, którzy mają podciągnąć w nocy dla przedłużenia naszego lewego skrzydła.

24 maj. Żerniki.

Około godziny 7-mej zerwał nas na nogi alarm. Moskale atakują.

Istotnie, ogień artylerii nieprzyjacielskiej poprzedził natarcie na 4-tą kompanię, która okopała się w ciągu nocy pod folwarkiem na północny-wschód od Żernik, frontem na Gołoszyce mając bardzo krótkie pole ostrzału. Piechota

moskiewska pod ochroną swych dział przypuściła szturm w 6-ciu rzędach pod nasze okopy. A my bez karabinów maszynowych! Baterie austriackie milczą. Grzechot karabinowy na całej linii świadczy o tym, że batalion ma nie lada pracę w okopach.

Drżymy z niecierpliwością siedząc w kucki pod osłoną ścian domów i stodół. Pociski nieprzyjacielskie macają nas, choć nieszkodliwie. Ogień na prawo przycicha, trwa jednak dalej na odcinku 4-tej kompanii. Wreszcie około godziny 11-tej gromkie „Ura!“ rozdziera powietrze. Grad kul karabinowych przeszywa strzechę naszej osłony i pęka z suchym trzaskiem gdzieś w górze.

Nie możemy już usiedzieć spokojnie, zdenerwowanie wzrasta.

Trzymani na miejscu siłą rozkazu, kurzymy nerwowo papierosy, wsłuchując się uważnie w odgłosy bitwy. Oddalone krzyki i jęki wplatają się w rytmiczne szczekanie kulomiotu. Głuche wybuchy basują nieprzerwanie. Przeraźliwy świst kul spełnia w tym piekielnym koncercie rolę ciętych instrumentów.

W pewnej chwili zza węgła stodoły ukazuje się dwóch rannych z 4-tej kompanii.

— Wujcio Bagniewski zabity! Kapral Czyż zginął! Amunicji brak!

Rzucamy się ku rannym, pomagamy im wypruć zaszyte w poły munduru bandaże. Spod sąsiedniej chałupy biegnie sanitariusz Nieć, aby nałożyć pierwsze opatrunki.

Strzelanina ustaje. Coraz więcej rannych podpiera ścianę naszej i sąsiedniej stodoły. Natarcie Moskali zdaje się powstrzymała ofiarna śmierć ppor. Juliana Bagniewskiego, dzielnego osadnika z Kurytyby i pogromcy patroli rosyjskich nad Nidą.

Wkrótce nowa fala ognia zrywa się z lewej strony. Do naszej sekcji przybiega ze wsi zdyszany Ceceniowski.

— Za mną, marsz, panie, do przeciwnatarcia! — wyrzuca z siebie jednym tchem.

Pędzimy za nim przez pola, łąki i wąwozy wciąż na lewo w skos dla przedłużenia lewego skrzydła baonu. Rzecki z resztą kompanii wzmacnia linię przetrzebionej 4-tej komp. Zaczyna wreszcie bić artyleria austriacka kierując swój ogień na dworek i las za Gołoszycami. Widzimy umykające pod tym ogniem sylwetki Moskali. Zbijają się miejscami w bezładne kupy, w które walimy ze swych Manlicherów, nie mając czasu dobrze się do strzału przyłożyć. Natarcie zostało ponownie złamane ogniem batalionu i artylerii, której się Mochy widocznie nie spodziewali.

Część I kompanii zostaje w okopach, nasz pluton wraca do wsi.

Następują opowiadania, sprawozdania, relacje.

Wiara dzieli się wrażeniami, urągając łapiduchom, którzy zamiast pilnować rannych rzucili się w czasie bitwy do łapania gęsi, pasących się na łące, pobitych lub pokaleczonych przez kule. Dostali za to wcierę od Rzeckiego. Ptaszki musieli oddać do taboru. Maniuś Bernadzki, który teraz jest prowiantowcem, poobwiązywał im krwawiące szyje bandażami i demonstruje przed wiarą sprawność łapiduchów.

25 maj. Okopy pod Żernikami.

Znajdujemy się pod folwarkiem na północny wschód od Żernik. Zmieniliśmy w nocy resztki 4-tej kompanii. Zajmujemy odcinek na wprost dworku, z poza którego Moskale rozwinęli wczoraj swoje natarcie. Przeszkadza nam ten dworek w ostrzale i obserwacji nieprzyjaciela. Należałoby go spalić.

Opodal dworku, z prawej jego strony, znajdują się stodoły, a tuż przy nich dość duża sadzawka. Moskale zajmują wzgórze nr 325 i wieś Modliborzyce i są prawie o ki-

lometr oddaleni od nas z prawej strony. Za to po stronie lewej zajmują las tuż za Gołoszycami, gdzie nasze lewe skrzydło wciąż wisi w powietrzu. Wprawdzie dziś rano nadciągnął tu jeden batalion 31 pułku honwedów, ale okopał się w tyle za nami zajmując pozycje na północ od wzgórza 321.

Dziś służbę ma 3-ci pluton, wystawia placówkę i czujki za dworkiem. My zaś orientujemy się w terenie, pogłębiamy okopy, urządzamy strzelnice.

26 maj. Okopy pod Żernikami.

W nocy saperzy austriaccy odrutowali nam przedpole. Ośm rzędów drutu kolczastego powstrzyma zapewne nieprzyjaciela od nacierania na nas z tej strony. Pozostaje jeszcze dworek, który dziś rano został obejrzany dokładnie przez Satyra i innych oficerów. Powzięto postanowienie spalania gumien. Dworek na razie ma pozostać nienaruszony, widocznie go Satyrowi szkoda.

I nam żal pięknego sadu i rabat kwiatowych, które po zniszczeniu budynku stracą cały urok. Satyr ma zaproponować Trepom, aby posunęli się dalej na północ od linii Moskwa — Kraszków, abyśmy mogli wysunąć się przed dworek zyskując w ten sposób lepsze pole ostrzału. Ale czy z tymi zakutymi łbami doszedł kto kiedy do ładu?

27 maj. Okopy pod Żernikami.

Jakiś drań strzela z Modliborzyc wzdłuż naszych okopów. Zostało rannych dwóch żołnierzy z 4-tej komp., którzy szli do wsi, wobec czego rezerwa kopie rów dobiegowy.

Por. Grudziński, który był ranny w ataku na Żerniki i zdał dowództwo kompanii ppor. Aleksandrowiczowi, uciekł ze szpitala i objął kompanię z powrotem.

Satyr otrzymał zaproszenie arcyksięcia na ucztę do Klimontowa. Ciekawym, jak się będzie czuł między tymi eleganckimi sztabowcami w swej jedynej, mocno wyświechtanej, bluzie strzeleckiej.

Zjawił się nareszcie Śliwa, który spędził cały tydzień poza oddziałem, prawdopodobnie w Bardzie na wyżerce. Że też on zawsze potrafi w samą porę większą bitwę przewąchać! Ma stanąć po powrocie Satyra do raportu batalionowego, ale nic sobie z tego nie robi. Mówi, że go bolał brzuch, a potem szukał regimentu. Jeszcze ma pretensje do kolegów, którzy dźwigali jego plecak, że mu papierosy wypalili.

28 maj. Okopy pod Żernikami.

Stałem dziś w nocy na warcie w krzakach za dworkiem. Słowiki darły się na wyścigi tuż nad uchem. Bielone ściany dworku w jasnej poświacie księżycowej wyglądały tak uroczo, że postanowiłem zwalczać partię domagającą się bezwarunkowego zniszczenia tego cudownego zakątka. Przecież sumienny wartownik nie dopuści Mochów do siebie, a i druty także coś znaczą! Przy tym Trepy posunęli się naprzód, przedłużając nasze lewe skrzydło w prostej linii. Jednakże nie zabezpiecza to naszych tyłów w razie przełamania frontu Austriakom, którzy nie mają dobrego ostrzału.

29 maj. Okopy pod Żernikami.

Dziś w nocy rakiety były niepotrzebne. Mieliśmy fajerwerk, bo podpalono stodoły stojące na zawadzie. Spłonęły momentalnie. Zgliszcza jeszcze dogorywają, a wśród nich sterczą tylko kamienne słupy, na których było oparte wiązanie ścian. Wygląda to z daleka, jakby się posuwała tyraliera nieprzyjacielska w naszą stronę.

Rów dobiegowy już jest gotów. Strasznie kręty i do wsi trzeba nim iść chyba pół godziny.

Moskale znowu posadzili na dachy skrajnych chałup w Modliborzycach kilku dobrych strzelców, którzy ostrzeliwają odcinek 4-tej kompanii. I u nas też kule świszczą z lewej, od strony lasu, tak że na wierzchu okopów nie można się pokazać.

30 maj. Okopy pod Żernikami.

Satyr wrócił z Klimontowa ogromnie ucieszony. Przyszedł zaraz do nas do okopów pochwalić się, jak go to tam Trepy honorowali. A balu żadnego nie było, tylko odprawa oficerska i małe przyjęcie w kasynie na cześć arcyksięcia. Do stołu podano żołnierski chleb kukurydzowy i zwykłe komiśne wino. Mówił jeszcze Satyr, że sztabowcy austriaccy są zdumieni naszą sprawnością bojową i doskonałymi wywiadami. Sam arcyksiążę wyraził podziękowanie naszemu dowódcy i kazał wydać, oprócz tego, rozkaz do batalionu, w którym obiecuje zameldować swojemu Mejestatowi o waleczności i gotowości bojowej Polskiego Legionu. Ucieszyło nas nie tyle powoływanie się wodza austriackiego na strupieszały Majestat, ile obietnica podwójnych fasunków dla szeregowych i oficerów VI batalionu. Choć wolelibyśmy wyrzec się tego, byleby być razem z brygadą, która teraz właśnie, wedle relacji Satyra, przechodzi ciężkie boje pod Konarami i Włostowem. V batalion ma ciężkie straty.

Z racji dobrego humoru Satyra upiekło się Śliwie przy raporcie. Dowódca batalionu uwierzył w bajeczkę o brzuchu i tygodniową nieobecność w kompanii uznał za usprawiedliwioną. Tyle tylko zrobiono Śliwie, że go pozbawiono sekcji, którą otrzymał jego zastępca kapral Niementowski.

31 maj. Okopy pod Żernikami.

Dziś nasz pluton obsadził w nocy oficerską placówkę za stawem.

Mnie wypadło stać na czujce razem z Toldkiem Rosołowskim pod filarami jednej ze spalonych stodół.

Obserwujemy już przez dłuższą chwilę teren i wsłuchujemy się w szum pszenicy falującej u naszych stóp. Wtem wyłazi ze zboża jakaś mała pokraka. Toldek trącił ją nogą, zmartwiała i nie rusza się. Przekonaliśmy się wkrótce, że był to jeż, który nastawił ku nam swe ostre kolce. Nachyliłem się nad zwierzątkiem, nakryłem je czapką i podniosłem delikatnie z ziemi. Zabiorę go z sobą do okopów.

Nagle od strony drutów ukazała się sylwetka kaprala Niementowskiego. Poznaliśmy go z daleka, zatrzymaliśmy jednak dla formalności żądając hasła. Ale Niementowski hasła nie oddał, machnął tylko ręką i biegł dalej w stronę placówki. Oburzony tem Toldek skorzystał z prawa wartownika i oddał strzał za odchodzącym w powietrze.

W tej samej chwili ze zboża, tuż przy nas, dźwignęło się kilkanaście czap moskiewskich, a gromkie „Ura!“ rozdarło powietrze. My z Toldkiem w nogi ku placówce, aż tu widzimy, że i cała placówka wieje z Niementowskim na czele w stronę stawu, więc się przyłączyliśmy do uciekających. Ja z jeżem pod pachą, którego jakoś nie miałem czasu wyjąć, i karabinem w prawym ręku, okrążam właśnie staw, gdy od strony dworku nowy oddział nieprzyjacielski gruchnął do nas salwą jedną i drugą. Nie było czasu na szukanie przejścia, gdyśmy się znaleźli pod drutami. Do dziś niewytłomaczonym dla mnie sposobem przebyłem tę przeszkodę, zgubiwszy tylko czapkę z jeżem, i znalazłem się w okopie razem ze wszystkimi zdrów i cały.

Rozbudzona kompania wnet otwarła silny ogień na Mochów i z przedpola ich przepędziła.

Zaczęto teraz wyjaśniać sobie nawzajem, jak się rzecz cała miała. Moskali wszystkich była co najmniej kompania, podzielona na trzy oddziały. Jeden z tych oddziałów podkradł się pod austriacką placówkę, na lewo od dworku, i zafasował ją. Brał ją jednak nie dość cicho, bo zwąchał to kapral Niementowski, który był łącznikiem między placówkami. Ostrzegł on wartownika pod dworkiem, po czym pobiegł ostrzec także naszą placówkę, a że zależało mu na pośpiechu, nie chciał tracić czasu na legitymowanie się. Gdyby nie strzał Toldka, który zbyt wcześnie poderwał przyczajonych w zbożu Mochów, bylibyśmy obaj zafasowani jak amen w pacierzu. Może i placówka nie zdążyłaby się wycofać, wzięta z dwóch stron jednocześnie.

— Ot tobie i dworek! — zakończył te wyjaśnienia ob. Dziuk, który był najmniej sentymentalny spośród nas.

Rzeczywiście, gdyby nie ten dworek, gąszczem krzewów otoczony, Moskale nie mieliby osłony dla swych manewrów i podejść. Jeden wartownik, stawiany dotychczas przy dworku, nie jest w stanie objąć obserwacją wszystkich zakamarków dużego, bądź co bądź, ogrodu. Zatem dworek ten trzeba nieodwołalnie spalić!

Tak postanowiliśmy w nocy.

Gdy nadszedł dzień, poszedłem między druty szukać swojej czapki, którą tam razem z jeżem zgubiłem, przeskakując przez druty. Dowódca 3-go plutonu, ppor. Kołodziejski, wyśmiał mnie i cały pierwszy pluton, żeśmy się kilkunastu Mochów zlękli, umykając przed nimi jak zające.

Uchwalono wobec tego po naradzie u kompanijnego nic o tym Satyrowi nie mówić i dotychczasowy stan rzeczy nadal utrzymać.

1 czerwiec. Żerniki.

Dziś nasz pluton został wycofany z okopów na trzydniowy wypoczynek do wsi.

Wysypiamy się setnie w stodołach. Urządziliśmy też generalne pranie i gotowanie bielizny. Niewiele to pomoże, bo zalążki insektów są też i w mundurach, ale zawsze chwilową choćby ulgę przyniesie.

Ludność wioski już się zżyła z żołnierzami, zwłaszcza że nasze podwójne fasunki pomagają jej do przetrwania ciężkiego przednówku. Chłopi dzielą się też z nami: dostarczają mleka, jaj, ziemniaków.

Dziewczęta powyłaziły z zapiecków i wdzięczą się do nas nie na żarty. A jest kilka urodziwych, a jakże! Nikomu z nas nie przychodzi jednakże na myśl dybać na cześć niewieścią. Pożartować i owszem. Zresztą za dużo nas jest, jeden drugiego pilnuje. Co gorętsi jeno się oblizują jak kot na widok szperki. Ot taki, nie przymierzając, Maniuś Bernadzki, który wszystkie ku sobie nęci, a nie wiem, czy też choć jednej poradzi.

3 czerwiec. Żerniki.

— Ot tobie i dworek!

Jeszcze przed trzema dniami ppor. Kołodziejski zarzucał nam tchórzostwo, a dziś leży oto w izbie i boryka się ze śmiercią.

Został w nocy obskoczony na placówce przez grenadierów rosyjskich i stoczył z nimi walkę na bagnety. W rezultacie otrzymał 16 ran i skaleczeń. Oprócz niego jest trzech ludzi rannych w plutonie. Zafasować się, co prawda, nie dał, ale czy nasz pluton nie postąpił rozsądnie?

Przyznał to sam Kołodziejski i nawet nas przeprosił, gdyśmy asystowali przy jego noszach. Dr Hedinger nie robi wielkich nadziei na utrzymanie przy życiu rannego. Zbyt wiele krwi utracił.

Nie licząc samego dowódcy cały trzeci pluton spisał się morowo, nie dając się Mochom, pomimo ich przewagi liczebnej. Opowiadają, że największy oferma z tego plu-

tonu, Marcinkowski, w pierwszym starciu pozwolił sobie wytrącić z ręki broń i pozostał bez karabina. Olbrzymi Moskal przyłożył mu „sztyk“ do piersi i wezwał do poddania się. Ale nasz dłubinos bynajmniej nie skapitulował. Chwyciwszy lewą ręką za koniec „sztyka“ twardą pięścią swojej prawicy walił Moskala po mordzie tak długo, że ten, aczkolwiek przyzwyczajony do tego, wytrzymać dłużej nie mógł i, straciwszy coś ze dwa zęby, pozostawił swe „ruzio“ w ręku napastowanego i uciekł. Marcinkowski ze zdobytym karabinem pognał za swoimi do okopów.

Wypytawszy jeszcze o pewne szczegóły tej utarczki powróciliśmy na kwatery, postanawiając odemścić się Moskalom.

Ale jak to zrobić?

Ob. Dziuk radził pójść na patrol zaraz, przypuszczając, że Moskale muszą zostawiać we dnie swoich obserwatorów w zbożu, którzy śledzą uważnie z bliska, co się u nas dzieje. Bo inaczej jakżeby mogli podchodzić nas w nocy i to tak, na pewnego? Mają widocznie przewodników, którzy zbadali dokładnie teren przy świetle dziennym i tych warto by zafasować. A może się uda strącić z drzewa któregoś z tych wisielców, którzy celnymi strzałami wciąż nas niepokoją w okopach?

Wywiązała się bardzo ożywiona dyskusja. Jedni twierdzili, że dziś, to znaczy bezpośrednio po nieudanym dla Moskali wypadzie, iść nie ma po co. Obserwatorów nie będzie, choćby dlatego, że artyleria po wycofaniu się trzeciego plutonu do okopów kropiła fest zasypując okolice dworku gradem szrapnelowych pocisków. Wuj był przeciwnego zdania i starał się nam udowodnić, że po nieudanym napadzie tym bardziej pozostawiono obserwatorów, aby wynaleźć inny sposób zaskoczenia nas tej lub następnej nocy. Ponieważ Wuj, którego opromieniała sława starego bojowca, cieszył się w plutonie wielką powagą we wszyst-

kich sprawach ważnych, większość przychyliła się do jego zdania i postanowiono iść zaraz na patrol.

Ale kto ma iść?

Naturalnie chcieli wszyscy, co było rzeczą niemożliwą o tej porze. Wniosek o ciągnieniu losów został także odrzucony, w końcu zadecydowano, że na patrol pójdzie czterech obywateli: Wuj, Dziuk, Prybe i Dominus Vobiscum pod dowództwem Zdzicha Rosołowskiego. Mają zameldować się w okopie Rzeckiemu, przedstawić swój plan i uzyskać zezwolenie kompanijnego na odbycie patrolu. Zebrali się zaraz i poszli, odprowadzeni przez Pecykla naturalnie, który wnet wrócił z wiadomością, że Rzecki pozwolił.

Szykowaliśmy właśnie menażki do pobrania obiadu w kuchni, gdy wrócili w triumfie, wiodąc dwóch jeńców, tęgich Moskali o szerokich gębach i płaskich nosach. Wzięli ich ze zboża, w którym siedzieli, jak to słusznie Wuj przewidywał zajmując tam stanowiska obserwacyjne. Nawet pisnąć nie mieli czasu, gdy ich Domino schwytał obydwu z tyłu za kark jak szczenięta. Stawiają się jednak i nic mówić nie chcą.

Rzeczywiście, obydwaj sołdaci byli chmurni, patrzyli na nas spode łba, a jeden z nich, cokolwiek wyższy, usiłował nawet przybierać pogardliwy wyraz twarzy.

Urządziliśmy naszym chłopcom owację, oni zaś powiedli swą zdobycz do Satyra. W dowództwie batalionu zbadano znalezione przy jeńcach dokumenty, z których wynikało, że naprzeciw nas stoi nie byle jakie wojsko, lecz tzw. żelazna brygada rosyjska, złożona z 11 i 12 pułków grenadierów, imienia cara Aleksandra III. Obydwaj wzięci do niewoli żołnierze byli odznaczeni krzyżami św. Jerzego za walki w Małopolsce Wschodniej. Zachowywali się też podczas badania ich przez adiutanta batalionu z godnością, po żołniersku, nie zdradzając niczego i nie mówiąc nic ponadto, co zostało już stwierdzone na podstawie znalezionych dokumentów.

Wieczorem nadszedł telefonogram, że Przemyśl został odbity, a Moskale znajdują się w odwrocie na Lwów.

Dobra nasza!

W nocy idziemy do okopów zmienić III pluton.

4 czerwiec. Okopy pod Żernikami.

Dziś w nocy spalono nareszcie ów nieszczęsny dworek. Ogień podłożyli Niementowski z Gromanem, którzy ledwie się zdążyli wycofać do okopów, tak zaczęli bić Moskale.

Około południa ruch się nagły zrobił na prawo w naszej 4-tej kompanii.

Jeszcze jedna strata bolesna, bodaj że najboleśniejsza!

Zabity został na patrolu pod Modliborzycami dowódca 4-tej kompanii porucznik Pększyc-Grudziński, jeden z najdzielniejszych oficerów I brygady.

Mój Boże!

Widzę błysk jego stalowych oczu, gdy jako komendant placu w Kętach przyjmował mnie po powrocie mym ze szpitala. Stoi mi przed oczyma jego długa postać badająca uważnie żelazne porcje żołnierzy swojej kompanii na którymś z postojów.

Był to żołnierz z krwi i kości, twardy dla siebie, wymagający dla innych, sprawiedliwy i dbały o swych podwładnych. Zginął niepotrzebnie, podobno sam się dobił z rewolweru, widząc się ciężko rannym i nie chcąc narażać swych żołnierzy na strzały moskiewskie, gdyby go próbowali unieść z pola.

Oto się toczy teraz bitwa o jego ciało. Jedno ciało, wszelkiej władzy pozbawione, które już błyskawicą myśli rozświetlić swym żołnierzom drogi nie zdoła, które nie podźwignie już więcej ręki zmartwiałej, aby nią wskazać w boju bezpieczny załom terenu.

O zdobycie jego ciała rozgorzała oto prawdziwa bitwa, w której nie pożałowano setek armatnich pocisków.

Wreszcie je zdobyto, wydarto prawie spod samych pozycji nieprzyjaciela, który je opuścił właśnie na tę chwilę, gdy bezwładne ciało spoczęło bezpiecznie na miłujących rękach tych, dla których było już tylko Świętością.

Czeka Cię jeszcze pogrzeb, Poruczniku Pierwszej Brygady. Pogrzeb taki, na jaki tylko w naszych warunkach zdobyć się będziemy mogli, abyś wiedział, że nie kłamie piosenka żołnierska.

Niechże się Tobie w tym ciemnym grobie, który Ci zgotujemy, przyśni Polska wolna i szczęśliwa.

Niechaj będzie taka, o jaką walczyłeś, na nic niepomny, nie chroniący swego życia, zdrowia, troszczący się jeno o to dobro powszechne, którego wyrazem byłeś Ty sam, zawsze miłujący i zawsze ofiarny.

5 czerwiec. Okopy pod Żernikami.

Przyszły bardzo smutne wiadomości z brygady. Podczas gdyśmy tu w triumfie posuwali się naprzód, pod Kozinkiem krwawił się nasz V batalion. Straty są olbrzymie. Podobno zginął kpt. Herwin, dowódca batalionu.

Na lewe skrzydło naszej kompanii przybył karabin maszynowy. Wiara z innych kompanii przychodzi go z nabożeństwem oglądać, wymieniając równocześnie u austriackiej obsługi, złożonej przeważnie z Madziarów, swoje konserwy „Ring-Gulasch“ (Rings czyli wołowy) na „Haché“, które legunowi bardziej smakują. Podobno austriackie dowództwo, w uznaniu naszych zasług bojowych, przydziela nam nareszcie dwa karabiny maszynowe, których dowódcą ma zostać ppor. Prot będący obecnie na przeszkoleniu w Wiedniu. Z wiadomości tej najbardziej się cieszy kapral Franciszek Obidniak z II plutonu, który został zdegradowany za „pyskowanie“ i ma nadzieję w przyszłym o. k. m.-ie odzyskać swoją szarżę. Jednak z tego Obidniaka jest byczy chłop! Przybył do naszego batalionu z wie-

deńską kompanią, po polsku źle mówi, ale w kaszę sobie pluć nikomu nie daje. Dla mnie czuje specjalny respekt, bo go uczę wyrażać się prawidłowo w ojczystym języku, bez złośliwych przycinków.

Dziś oddaliśmy trzykrotną salwę w stronę nieprzyjaciela, jako symboliczne pożegnanie Grudzińskiego, którego ciało spoczywa już na katafalku w kościele. Wartę honorową trzyma tam 4-ta kompania, od nas wyznaczono delegacje na pogrzeb.

Ppor. Kołodziejski zmarł nie dojechawszy do szpitala.

6 czerwiec. Okopy pod Żernikami.

Otrzymaliśmy dziś uzupełnienie.

Przyszło trochę starej wiary i garść rekrutów, przeważnie gimnazjalistów z Małopolski. Do naszej sekcji przybył kapral Charkowski, który był ranny pod Łowczówkiem w prawy policzek i „połknął kulę", jak gadały łapiduchy. Faktem jest, że Charkowskiemu kula zmiażdżyła szczękę i utkwiła w jamie ustnej. Ma teraz „dziurę" w policzku, z której jest niezwykle dumny, i niewyczerpany humor „batiara". Opowiada dziwy o „Domu wariatów" w Kamińsku, gdzie teraz odbywają rekonwalescencję leguny wszystkich trzech brygad. W Piotrkowie organizuje się podobno czwarty pułk, mający tworzyć już trzecią brygadę Legionów, na razie od „szkodliwych" wpływów I brygady przez szefa Departamentu Wojskowego N. K. N. starannie chroniony.

Mamy też w naszej sekcji rekruta. Nazywa się Adam Skotnicki, pochodzi z Krakowa i ma akcent charakteryzujący typowych „andrów" krakowskich. Toteż wiara mu stale dokucza:

— Antek, chodź na ryby!

— Jakże pójdę, kiedy mi matka k..... wędkę spaliła!

7 czerwiec. Okopy pod Żernikami.

Dziś w nocy nasze odwody poprawiały nam druty na przedpolu, a austriaccy saperzy zakładali miny w ogrodzie przy spalonym dworku, bo w Gołoszycach-Górnych znów Moskale zafasowali dwie placówki austriackie.

8 czerwiec. Okopy pod Żernikami.

Rozdano nam dziś ulotki z drukowanym rozkazem Komendanta, wydanym z okazji ostatnich walk pod Konarami. Nasz batalion też otrzymał pochwały. W rozkazie wymieniony został ś. p. ppor. Kołodziejski i ci sanitariusze, którzy z narażeniem własnego życia unieśli z pola ciało nieodżałowanej pamięci por. Grudzińskiego.

Sprawdziła się wiadomość o śmierci Herwina.

Co to będzie, gdy tak tracić poczniemy najlepszych swych oficerów?

10 czerwiec. Okopy pod Żernikami.

Mieliśmy wizytę„ królika polskiego", ob. Ryszarda Trojanowskiego, który w towarzystwie lekarza naszego pułku, dra Sławoja - Składkowskiego, lustrował okopy. Inspekcja wypadła widać pomyślnie, bo „królik" był uśmiechnięty, zaś Sławoj, podziwiający otrzymany przez nas karabin maszynowy, odpowiadał po swojemu, dosadnie i z humorem, na zaczepki wiarusów, chcących koniecznie wiedzieć, dlaczego lekarz tak się interesuje sprawami bojowymi batalionu, a o latryny nic a nic nie pyta.

Jutro idziemy do wsi, będziemy w odwodzie.

22 czerwiec. Okopy pod Żernikami.

Od dwóch tygodni prawie nie zaglądałem do swego zeszytu, bo przez ten czas jednostajności okopowej i przebywania w odwodzie nie zdarzyło się nic godnego uwagi, oprócz obżerania się i „byczenia" w okopach.

Moskale po spaleniu dworku i podminowaniu ogrodu, zwąchali widać pismo nosem i zrezygnowali z nocnych wypadów. Dali spokój nawet Austriakom na lewo, gdy tym udało się strącić z sosen niepokojących naszą linię okopów strzelców rosyjskich.

Dopiero dziś ożył nagle cały front, gdy o 10 rano nadeszła wiadomość o odebraniu Lwowa. Najwięcej szalała 4-ta kompania mająca duży procent rodowitych lwowian. Naturalnie, my, Królewiacy, poszliśmy zaraz winszować. Co chwila jeden drugiemu padał w rozwarte szeroko ramiona i przez długi czas nie było słychać żadnych rozmów, tylko gwałtowne wybuchy radości i charakterystyczne okrzyki „batjarów“:

— Jóźku, daj Boże zdrowie!

— Ta co?

— Nie wisz? Bodaj ci nagła krew zaliała! Ta Lwów wolny!

— Ta joj! Trzymaj mnie, Tońciu, bo upadnem! Ale czy to aby rzetelna prawda?

— Dalibóg prawda, jak to, że ja przed tobą stoim. Fonogram przyszedł z brygady!

— Z brygady, powiadasz? Jakże to? Nie od jańciów?

— Jak tobi mówim, że z brygady, to z brygady. Gdzieżby jańcie tak dbali o nas, żeby nam co prędzej tę radość sprawić, co?

— Ta joj, Jóźku słodki, dajże gęby, chaj ci pociumam!

I tak tym „ciumaniom“ i obłapianiom końca nie było. Co za temperamenty! Co za głębokie przywiązanie do rodzinnego miasta!

„Może uda si,
„Że powrócem zdrów,
„Taj zobaczem miasto Lwów!

wnet rozległo się po całej linii bojowej, a potem strzelanie na wiwat do Moskali, którzy sięgnąć musieli po ostatnie rezerwowe ładunki, by puścić kilka pocisków, gdyż myśleli, że to natarcie.

23 czerwiec. Konary.

Wczoraj zmienili nas w okopach pod Żernikami Austriacy. Wiadome było, że w związku z odbiciem Lwowa Moskale będą musieli wiać i na tym odcinku frontu. Trepy jednak okazywali tyle bojaźni i niezdecydowania, tak nas nudzili wypytywaniem o najdrobniejsze szczegóły terenowe, mając je przecie na mapach, że nas to po prostu śmieszyło. Wreszcie jakiś zugsführer, który obsadził słynną placówkę za stawem, po dziesięciu minutach zwiał ze swymi ludźmi do okopów. Przy zapadłym już zmierzchu wziął słupy, pozostałe po spaleniu stodoły, za nieprzyjacielską tyralierę. Ledwie mu to wytłumaczyliśmy. Nasz rozprowadzający musiał jeszcze raz zaprowadzić walecznych cesarskich wojaków na stanowiska i uspokoić zapewnieniem, że im nic nie grozi, bo „ruski" są o kilometr oddaleni i prawdopodobnie zwieją w nocy.

Przybyliśmy dziś do Konar, opuszczonych przez 2-gi pułk i wyspawszy się już rzetelnie, oczekujemy rozkazu do wymarszu. W międzyczasie zwiedziliśmy wieś i mogiły trzech sierżantów, poległych w pobliżu Konar w ciągu ostatnich dni. Leżą sobie cisi i spokojni pod brzozowymi krzyżami, w wysokich prostokątach mogił, przez kolegów pewnie świeżo odarnionych.

Wyczytałem na jednej z tabliczek nazwisko: „Jerzy Młocki - Szletyński". Stanęła mi od razu przed oczyma Łódź i oddział młodych harcerzy przy Ryszardzie Trojanowskim. Komendantem ich był właśnie poległy.

Doprowadził swych dzielnych chłopców aż tutaj, by spocząć na wieki pośród pięknej wsi sandomierskiej:

„Szumiały mu echa kawiarni,
„Gałęzie szumiały mu brzóz —
„Postacie się jakieś skradały po darni. —

Śpij, kolego!

To nic. To my, przyjaciele Twoi i towarzysze.

Przyszliśmy oto, by złożyć Ci ostatnie nasze żołnierskie pożegnanie.

Cześć Wam, Polegli!

24 czerwiec. Bidzin.

Przez Włostów, Malice, Niekisiałki okrążamy Opatów, wzbijając tumany kurzu w wąwozach, wdzierając się na wyżyny ostatnim ledwie wysiłkiem, bo słońce praży niemiłosiernie.

Wychodzimy wreszcie na szosę Opatów — Ożarów, po której się raźniej maszeruje. Za Stodołami lunął krótki, gruby deszcz i znów wyjrzało słońce. Od wsi Kunice wiozą ciężko rannego por. Dudzieńca z 1 pułku ułanów Beliny. Nasz patrol ułański miał wczoraj potyczkę z kozakami. Jest kilku zabitych, rannych odbili dziś rano Austriacy.

Schodzimy na bok i biwakujemy przy drodze. Pędzi jakiś samochód, witany gromkimi okrzykami. To nasz Dziadek wraca z A.O.K. Będą ważne nowiny.

Po obiedzie ruszamy powoli w dalszą drogę. Postępujący przed nami Śmigły jeszcze nie uporał się z nieprzyjacielską strażą tylną. Moskale opierają się na torze kolejowym, a nad wsią Bidzin widać wianek dymków szrapnelowych. Mimo to posuwamy się dalej w kolumnie i po krótkim wy-

poczynku zajmujemy w Bidzinie kwatery. Zdziwienie ogromne, bo wieś pusta, nigdzie nie ma żywej duszy.

Z piwnicy wyłazi jakiś obdarty chłop, który nas informuje, że całą ludność wioski wraz z dobytkiem pognali kozacy przed siebie, zostało zaledwie parę rodzin.

Nadzieja na mleko przepadła. Ale został drób bezpański, na którym wiara sobie używa, ściągając kury z grzęd, a z podwórek kaczki i gęsi. Swoją drogą, ta pustka niemiłe czyni wrażenie. Co zamierzają Moskale? Czemu znęcać się poczynają nad bezbronną ludnością? Czy to ma być taktyka ogołacania kraju, czy też jakiś wybryk niepoczytalnego generała?

25 czerwiec. Stróże.

Przed nami kozacy, spędzani ogniem artyleryjskim.

Szybki nasz marsz udaremnił zamiary wroga ewakuowania ludności ze wsi Julianów, do której wkroczyliśmy na obiad. Przyjęto nas bardzo gościnnie, wynosząc, co było pod ręką. Kobiety się roztkliwiają nad nami, że to „takie młodziusieńkie" wszystko. Chłopi zgrzytają zębami na Moskali, którym opierali się do ostatka nie chcąc opuszczać rodzinnej wioski. Kozacy nagrabili tu sporo i zgwałcili parę kobiet.

Po obiedzie ruszamy dalej ostrożnym marszem przez las wysuwając we wszystkie strony macki patroli. Wkrótce dosięgamy czworoboku pola, zamkniętego lasem. Przy drodze przyczaiło się kilkanaście chałup. Wraca szpica i coś melduje Satyrowi. Zatrzymujemy się w pustej i zrabowanej wsi Stróże, wystawiamy placówki.

26 czerwiec. Stróże.

Cały dzień spędziliśmy na placówkach. Okopaliśmy się w życie, Moskale biją do nas z lasu z berdanek. Ciężkie ołó-

wiane kule jednostrzałowych karabinów zmiatają kłosy przed nami lub też padają ciężko gdzieś w pobliżu. Komunikacja w okopie utrudniona, nawet obiadu nie można przynieść ze wsi. Na szczęście mamy zapasy konserw i pieczonego drobiu. Tylko pragnienie dokucza.

Wreszcie o zmierzchu zmienia nas IV batalion. Ściągamy do wsi, gdzie otrzymujemy obiad.

27 czerwiec. Okopy pod Ożarowem.

Okrążyliśmy las i zajęliśmy pozycje na prawym jego skraju, tuż przy szosie Ostrowiec—Ożarów. Dalej, za szosą na prawo, dołącza do nas V batalion. Stanowiska mamy wymarzone. Za plecami las, przed nami pole. Dalej, o kilometr prawie, dymią jeszcze zgliszcza spalonej przez Moskali osady. Tylko okopcone wieże kościoła świecą dziurami dzwonnic.

Wykopaliśmy wprawdzie na skraju lasu okopy, ale w nich nie siedzimy, bo w lesie mamy miły chłód i zieloną murawę.

Spokój panuje na odcinku. Artyleria pierze w opustoszałą cegielnię pod Stróżami, gdzie się mieści część naszego baonu. Tuż na lewo słychać w lesie pukaninę karabinową.

Z każdej kompanii wysłano patrole do Ożarowa, aby niepokoiły Moskali, o ile ich tam znajdą. Ale dymiące zgliszcza nie zdradzają jakoś obecności nieprzyjaciela, który musiał usadowić się dalej za miasteczkiem, na wcześniej przygotowanych pozycjach.

Po chwili jednak zaczęła się pukanina na polu. Widocznie Moskale są w miasteczku. Ich kule zaczęły gwizdać nam koło uszu. Były to po większej części ciężkie, ołowiane kule z berdanek, które grubych pni przebić nie

miały siły. Czyżby Moskalom już brakło nowoczesnych karabinów?

No, ale dostać taką gałą rozpalonego ołowiu z bliska w nogę lub rękę — stracona! Pogruchocze kości na miazgę!

Przypomniały się nam nasze werndle na sznurkach, z których przecie strzelaliśmy jeszcze pod Krzywopłotami.

Patrole wróciły już pod wieczór wyparłszy Mochów z ruin miasteczka.

Aby nie próbowali wracać tam w większej kupie, wystawiamy na noc placówki.

POD TARŁOWEM

— Moskale uciekli! —

Popłynęła radosna wieść wzdłuż naszej linii pod Ożarowem. Słowa, podawane z ust do ust, biegły szybko, elektryzując swoją nagłością i zmuszając do natychmiastowego krzątania się koło ładownic, plecaków i tornistrów.

— Przecież pójdziemy naprzód!

Wróciły patrole, wysłane przed świtem pod rosyjskie zasieki. Przyniosły wiadomość, która porwała na nogi wszystkich drzemiących gdzieś pod ścianą rowu czujnym snem legunów. Rozpaliła dusze nieprzepartą żądzą nowych wrażeń, straszliwych zapasów i nowych nad wrogiem triumfów.

— Naprzód! Naprzód!

Wiadomość radosna, tym więcej, że równie jak nad Nidą niespodziewana. Wczoraj jeszcze naradzano się w sztabie pułku, w jaki sposób wyprzeć nieprzyjaciela z jego silnie umocnionych stanowisk. Ostrożny kapitan Fleszar na nalegania dowódcy pułku Ryszarda Trojanowskiego powiedział, że nacierać nie może.

Wczoraj jeszcze furczały nad głowami siedzących w okopie strzelców nieprzyjacielskie szrapnele jak jakieś zabłąkane ptaki. Dziś w nocy nawet ciężkie ołowiane pociski z berdanek osypywały resztki osmalonego dymem pożaru tynku na zgliszczach domostw w miasteczku, gdzie były nasze placówki, a oto teraz . . .

Hen, na widnokręgu, za spaloną prawie doszczętnie przez cofających się Moskali osadą żółty, zygzakowaty potwór szczerzy ku nam bezsilnie zęby zamaskowanych strzelnic i okrytych darniną schronów. Otaczające go druty, pogmatwane z sobą i splątane wśród sterczących pali, oblane z tyłu promieniami wschodzącego słońca, już przestały niepokoić swoją wyrazistością.

Wiara wyłazi na okopy i w gorączkowym pośpiechu przygotowuje do marszu rynsztunek i przeciera śpiesznie karabiny. Przez noc osiadła rosa i rdzawymi kropelkami zastygła na zamkach. Oto już rynsztunki spakowane. Amunicja obliczona, z wszelkiego pyłu i ziarnek piasku starannie oczyszczona, po chlebakach i ładownicach rozmieszczona. Na brzegu znajdującego się w tyle za nami lasku ukazał się sierżant prowiantowy kompanii, Maniuś Bernadzki i jął wołać donośnym głosem:

— Kawa! Po kawę!

Powtórzono ten okrzyk kilkakrotnie w okopach i wkrótce jak na komendę rozległ się szmer, a potem brzęk odpinanych menażek i manierek. Wśród wesołych śmiechów i wzajemnych przekomarzań wysypała się szara brać strzelecka z okopów. Pod lasem kuchnia polowa dymiła resztkami ognia w palenisku nęcąc nozdrza aromatem czarnego, słodkiego wrzątku. Rozdano suchary i wiara poczęła zajadać śpiesznie parząc sobie w pośpiechu wargi gorącym płynem.

— Przecież idziemy naprzód!

Po śniadaniu — zbiórka i pomaszerowaliśmy w kolumnie na szosę. Tu oczekiwał już sztab pułku w pełnym składzie i zupełnej gotowości do drogi. A więc mały Trojanowski, Fleszar, Olszyna, adiutanci, lekarze i ordynansi konni. Uśmiechali się wszyscy do nas wesoło, życzliwie i tak jakoś ujmująco, że ten i ów podnosił głowę i wołał:

— Niech żyje sztab!

Oficerowie kiwali głowami, przykładając dwa palce do daszków szarych maciejówek, i tacy nam się zdali bliscy, nasi, mili, rodzeni, że hej!

— No, chłopcy, możebyście tak co zaśpiewali?

Popłynęły wzdłuż drogi dźwięki pieśni żołnierskiej, tak prostej i niewymuszonej, jak te dusze szczere i otwarte, co ją stworzyły:

„Nasz porucznik pójdzie z nami
„Walczyć wspólnie z Moskalami —
„Dalej, Strzelcy, dalej wraz!
„Od samej Warszawy aż do Petersburga
„Za Moskalami marsz, marsz, marsz!

Tak doszliśmy do miasteczka, zrabowanego i zniszczonego doszczętnie prawie przez Moskali. Zatrzymano nas na chwilę, aby oddziały, podążające za nami, mogły dołączyć. Wiara zaczęła grzebać w książkach, jakie ocalały od płomieni w na wpół spalonej plebanii. Wzdłuż ulicy miasteczka poniewierały się różne przedmioty, wywleczone przez Moskali z domów. Żartownisie pułkowi skorzystali z tego. Wkrótce maszerował wielce malowniczy pochód. Na przedzie kroczył legun z ogromną tubą od gramofonu, przez którą ogłaszał wszem wobec i każdemu z osobna, że pani Rojza Cynamon, która sama jedna pozostała w sławnym grodzie Ożarowie, do polskich żołnierzy śpieszy z powitaniem. Za tym heroldem postępował inny, osłaniający małą czerwoną parasolką żołnierza, ubranego w damskie, koronkami u dołu suto obramowane „potrzeby", z nieodzowną klapą z tyłu, żydowską perukę i czepek. W pewnym oddaleniu za tą grupą szła orkiestra, wygrywająca marsza na rondlach, patelniach i cynowych półmiskach. Przeszli wśród ogólnego śmiechu wzdłuż kolumny, nie zdążyli jednak dojść do czoła, bo dano znak do dalszego pochodu.

W mgnieniu oka porzucono stroje i brzękadła, chwycono za karabiny i ruszyliśmy za miasto tuż za V batalionem, który szedł na przedzie.

Gdyśmy się zbliżyli do opuszczonych rosyjskich pozycji, ujrzeliśmy okopy, jak zawsze u Moskali, nadzwyczaj silnie zbudowane i umocnione, widocznie od dawna już przygotowane do obrony. Kapitan Fleszar, który pojechał konno pozycje te obejrzeć, wracał teraz na czoło batalionu i nie mógł się powstrzymać od uczynienia uwagi, na poły do nas, na poły do siebie:

— Okopy głębokie na dwa metry, ze schronami, doskonale zamaskowane, osiem rzędów drutów, w niektórych miejscach trzynaście. Nacieraj tu, człowieku!

Słońce zaczęło już przypiekać. Na piaszczystej drodze, od dłuższego czasu nie zmoczonej deszczem, unosiły się całe tumany kurzu, wciskającego się do ust, oczu, uszu i nozdrzy maszerujących żołnierzy, zalepiając gardła nieznośnym, suchym pyłem. Po półtoragodzinnym wytężonym marszu wiara ledwie powłóczyła nogami, brnąc po kostki w sypkim, usuwającym się pod stopami piasku. Odpoczynku jakoś nie dawano. Z tyłu podjechał konno lekarz pułkowy por. Sławoj - Składkowski a za nim taboryta wiózł beczkę z wodą studzienną. Doktór kazał zawsze wozić za batalionem tę beczkę i wydzielał osobiście omdlewającym z pragnienia miniaturowe porcje.

— Obywatelu doktorze! — odezwał się ktoś z szeregu — zdałby się odpoczynek i kropla wody, bo, dalibóg, będę musiał na tabory poczekać.

Zaś cały nasz pluton, zoczywszy doktora, który był nie lada facecjonistą, zawył nagle jednogłośnie umówionym bolesnym krzykiem:

— Łoju! Łoju!

Doktór, sam spocony cały, zatykał niby uszy na nasze wrzaski. Po czym jął wiarę zachęcać do wytrwania, rozchylając w uśmiechu, wśród przekomarzań się z żołnierzami,



... Na przedzie kroczył legun z ogromną tubą ...

wiechy swoich blond wąsów. Żartami starał się zająć przemęczonych i odwrócić ich uwagę od sporego jeszcze kęsa drogi, jaki nam pozostawał do lasu, gdzie projektowany był pierwszy postój batalionu.

— Obywatelu doktorze! — odezwał się teraz Wuj-Kret zobaczywszy u doktora zawieszoną na szyi teczkę skórzaną z wyglądającą z niej mapą sztabową. — Ciekawym, po co doktorowi mapa? Czy tam może jest oznaczona droga do wieczności?

Doktór spojrzał z ukosa na Wuja i odciął się bez namysłu :

— Pytacie, na co mi potrzebna mapa? — A choćby na to, żebym wiedział, w której wsi macie mnie, obywatelu, w d... pocałować!

Tu wiara poczęła się śmiać, a współzawodnik doktora, zbity z tropu, położył, swoim zwyczajem, uszy po sobie nie mogąc w żaden sposób odparować ciosu.

Doktór, zaczepiany ze wszystkich stron, jechał jeszcze przez chwilę przy kolumnie. Temu coś powiedział, tamtego rozbudził z apatii jakimś dosadnym żartem, innego poczęstował papierosem, lecz gdy się na ten widok za wielu amatorów zaczęło zbiegać do jego papierośnicy, popędził konia i odjechał wołając:

— Hola, dłubinosy, pozwólcie mi choć papierośnicę uratować!

A wiara kurzyła doktorskie „Memfisy“, wciągając wonny dym tytoniowy, pomieszany z kurzem gościńca, w spracowane płuca. Fantazji jednakże przybyło i ani się spostrzeżono, gdy dość gęsty las sosnowy pozwolił na zarządzenie 20-minutowego odpoczynku.

Każdy z żołnierzy wyciągnął się z widoczną przyjemnością i ulgą na ziemi pod cieniem drzew, rozprostowując ramiona, od troków plecaka odparzone, i ocierając pot spływający po czole gęstymi kroplami. Niektórzy raczyli się wodą z manierek, głęboko w kieszeni plecaka przed

palącymi promieniami słońca ukrytych, inni zapalali „cienkie". Las rozbrzmiewał gwarem młodych głosów. Na drodze ukazało się kilka wozów, tłumokami i różnymi gratami napełnionych, wśród których siedziały dzieci i kobiety. Powożący chłopi dreptali po sypkim piachu tuż przy wozach i przynaglali pomęczone konie.

Byli to wieśniacy z Ożarowa i pobliskich wiosek. Nieszczęśliwi wygnańcy, ewakuowani przez Moskali. Wróg oderwał ich bezlitośnie od rodzinnej zagrody, pędząc przed sobą gdzieś w bezludne stepy na głód, nędzę i zatracenie. Spotykaliśmy ich od samej prawie Nidy, kryjących się po lasach i czekających na nasze przyjście, aby móc wrócić na zgliszcza rodzinnej zagrody.

Jeden z przejeżdżających teraz chłopów, idąc przy swym wózku, spoglądał na nas ciekawie wzdychając ciężko.

— Ojciec, a daleko wasi? — zagadnął go któryś z żołnierzy.

— O, niedaleko, panie, pod Tarłowem! — odparł pośpiesznie, ale wnet, usłyszawszy śmiech legionistów, zmiarkował się i dodał:

— Oni już nie nasi, panie!

A siedząca na wozie kobieta wyrzekła z uśmiechem:

— Teraz my wasi.

Nasi.

Tak, zaiste, naszą jest ziemia ta, prażona promieniami czerwcowego słońca, naszym jest las rozpinający nad nami konary swych drzew. A i ci ludzie, dążący uparcie do swych gniazd rodzinnych, wrażą ręką obróconych wniwecz, pod naszą opieką znajdują się tu. I choć my przejdziemy przez życie tych ludzi jak powiew wiatru, chłodzący skronie od skwaru dnia upalnego, idąc dalej w swym pochodzie, a za nami przyjdzie nowy wróg i w tę ziemię, krwią naszą przesiąkłą, nowe ziarna ucisku i wynaradawiania podstępnie miotać będzie, przecież zawsze gdzieś

tam, na dnie tych dusz znękanych, obudzi się wspomnienie widzianych w lesie młodych śmiejących się twarzy polskich żołnierzy, swoich...

— My wasi!

A choćbyśmy we wspomnieniach tych oto ludzi mieli kiedyś pozostać tylko bajką jakąś, wnuki ich chciwie słuchać będą gadki o żołnierzach polskich, którzy przecie byli tu, w tym lesie wypoczywali w pościgu za wrogiem, którego moc i potęgę szarpać się odważyli słabymi żądłami swych bagnetów, bo na lepszą broń nie stać było żołnierzy bez Ojczyzny!

Tak rozmyślałem leżąc na suchym igliwiu leśnym w bezruchu słodkiego wypoczynku. Potem gwarzyłem z leżącymi obok mnie kolegami, dopóki nas nie zerwano do dalszej drogi.

Szliśmy teraz marszem bojowym. Patrole V batalionu, wysłane naprzód, nawiązały już łączność z nieprzyjacielem. Moskale usadowili się w zawczasu przygotowanych i silnie umocnionych okopach za Tarłowem broniąc dostępu do Wisły przez obsadzenie przyczółka mostowego „Józefów".

Przed samym wieczorem dowiedzieliśmy się, że przechodzimy do odwodu brygady. Na pozycje pójdzie 1-szy pułk. Jakoż wkrótce odprowadzono nas w las na lewo od drogi. Już tu zajeżdżały baterie czyniąc gorączkowe przygotowania do rozstawienia dział. Uderzyła mnie wielka ilość artylerii, która ukazała się nagle, nie wiadomo skąd, rozjeżdżając wnet po polu i lesie i zajmując pozycje. Naliczyłem już sześć baterii polówek. Zza lasu na polanę ciągnął dalszy sznur spiżowych potworów i amunicyjnych wozów, zda się, nie mający końca.

Dla naszego pułku wybrano miejsce na biwak w lesie przed artylerią. Złożywszy broń w kozły i uwolniwszy się od gniotących nas tornistrów mogliśmy nareszcie pomyśleć o posiłku. Gotowy od dawna obiad przywieziono

wkrótce do kompanii i wiara poczęła zajadać przy akompaniamencie muzyki dział. Baterie, pomimo zapadającego już mroku, natychmiast po ustawieniu się rozpoczęły strzelaninę. Silne ostrzeliwanie pozycji nieprzyjacielskich miało umożliwić naszym strzelcom bliskie podsunięcie się. Strzelanina trwała z godzinę, po czym ustała. Zmęczeni całodziennym marszem zdrzemnęliśmy się przez parę godzin. Kładziono się gdziekolwiek na ziemi, byleby blisko kozłów z bronią. Namiotów, z powodu ostrego pogotowia, rozbijać nie było wolno.

Zasnąłem natychmiast, skoro tylko przyłożyłem głowę do plecaka. Spałem dobre trzy godziny. O brzasku obudziło mnie zawzięte ujadanie umieszczonej tuż za naszym biwakiem baterii polówek. Za nią odezwały się haubice będące w tyle. Potężny bas ciężkich dział odbijał się echem wśród drzew. Artyleria rosyjska także nie próżnowała starając się wymacać ukryte w lesie odwody i odkryć pozycje naszych baterii. Co chwila ponad wierzchołkami drzew przelatywał z szumem i chichotem pocisk nieprzyjacielski i rozrywał się w tyle za nami. Lub też, hucząc i wyjąc, biegł dalej dając znać przez niewyraźną detonację, że doścignął celu, obliczonego na daleki dystans. W pobliżu naszego biwaku padało bardzo mało pocisków. Jednak wszyscy pozrywali się na nogi, gdyż ogień artyleryjski z naszej strony wzmagał się z każdą chwilą.

Rozszalała się muzyka piekielna, świdrując w uszach rozdzierającym szczekaniem polówek, miarowym hukiem ciężkich dział, połączonym z straszliwym łopotaniem, świstem i zgrzytem biegnących w różne strony pocisków, jękiem i wyciem rykoszetów. Las cały trząsł się nie mogąc uchwycić i oddać echa raz po raz następujących po sobie odgłosów. Ludzie chodzili jak nieprzytomni porozumiewając się ze sobą głośnym krzykiem. W pewnej chwili artyleria nieprzyjacielska zamilkła zupełnie, widocznie zgnębiona przewagą naszych baterii.

Wylazłem na wysoką sosnę, by wyjrzeć z lasu. Zobaczyłem dokładnie miasteczko, położone w dole, od którego biegła w naszą stronę droga wiodąca do wsi Potoczek. Za tą drogą, na płaszczyźnie, wśród białawych pasm dojrzewającego zboża i zieleni łąk ujrzałem ciemne drobne punkciki, posuwające się w głąb to z prawej strony, to z lewej. Raz ich było kilka, to znów kilkanaście. Pojedynczy strzelcy dołączali do poprzednich, sunąc coraz bliżej ku lasowi znajdującemu się za ową płaszczyzną. Na skraju tego lasu, z miejsca mej obserwacji, można było dojrzeć gołym okiem żółtawy wał nieprzyjacielskiej reduty, zasiekami drucianymi otoczony. Wyłaniał się on z opasującego go wianka szrapnelowych dymków. Terkotem kulomiotów dawał znać, że ludzie ukryci tam czuwają i walczą niestrudzenie. Drobne punkciki posuwały się coraz dalej, coraz uparciej, wreszcie zapadły się, a po chwili na ich miejsce wyrosły kupki żółtawej gliny, z każdą minutą coraz to wyraźniejsze.

To 1-szy pułk Legionów przysunął się bliżej do nieprzyjacielskiej reduty. Okopywał się teraz przy akompaniamencie rosyjskich kulomiotów, terkoczących coraz wścieklej. Ogień działowy słabł. Pociski naszych baterii padały na tyły wroga. Na polu, prażeni promieniami słońca, okopywali się legioniści zapadając się w ziemię coraz głębiej i mocniej. Moskale byli ukryci za szerokim wałem swoich okopów, zabezpieczonych od wtargnięcia potężnymi zwałami stuletnich drzew. Konary oplątano kolczastym drutem niby siecią pajęczą. Rozmieszczone na przedpolu „wilcze doły“ miały nacierających powstrzymać w pierwszym impecie natarcia. Żółtawe pasmo świeżo wyrzuconej gliny zarysowywało się coraz wyraźniej. Nieprzyjacielskie kulomioty i karabiny ręczne terkotały już tylko z rzadka, niepewnie jakoś i jakby z niepokojem.

Wróciłem do obozowiska w samą porę, bo właśnie przesuwano nasz batalion na sam skraj lasu, bliżej pozycji.

Tu doczekaliśmy się wieczora. O zmierzchu pomaszerowaliśmy wzdłuż wsi Potoczek okrążając Tarłów od strony wschodniej. W pewnej chwili przycupnęliśmy za piaszczystą wydmą tak, jak nas zatrzymano w kolumnie.

Za godzinę miało się rozpocząć ostatnie natarcie 1-go pułku, co się już podczołgał w ciągu nocy na 30 kroków pod nieprzyjacielskie zasieki, a my stanowiliśmy tu pierwszy odwód. Artyleria nasza nie przestawała ostrzeliwać tylnych połączeń pozycji nieprzyjacielskich. Rosyjskie działa z rzadka tylko odpowiadały. Bezładna strzelanina karabinowa rozlegała się coraz częściej a kule gwizdały także i nad naszymi głowami zabijając nam jednego żołnierza i raniąc dwóch. Wydano rozkaz okopywania się, co w piaszczystym terenie uskuteczniliśmy bardzo szybko. Nastąpiło denerwujące oczekiwanie. Nie wolno było palić, ani też głośno rozmawiać.

Zjawił się łącznik od pierwszej linii z meldunkiem. Nasi podkopują się już pod nieprzyjacielskie druty i lada chwila przypuszczą szturm do moskiewskich okopów.

Spodziewaliśmy się, że teraz nasz batalion, a przynajmniej jego część, zostanie podsunięta bliżej linii. Gdy żadnych rozkazów w tym względzie nie wydawano, wiara poczęła się niecierpliwić, a nawet sarkać szeptem pomiędzy sobą:

— Wtedy nas podsuną, jak już pierwsza linia wybita zostanie i nieprzyjaciel przejdzie do przeciwnatarcia!

Ale okazało się, że pozostawienie nas za wzgórzem miało swoją rację. Wkrótce nastąpił tak silny ogień karabinowy, że kule padały gęsto wśród nas. Gdybyśmy się nie byli okopali, nie obeszłoby się bez poważniejszych strat. Ze sposobu strzelania Moskali można było wnioskować, że mają ogromną „cykorię". Wszystkie pociski górowały i prawdopodobnie żadne z nich w pierwszą linię nie padały.

Około godziny drugiej po północy strzelanina wzmogła się jeszcze bardziej, potem na jeden moment nastała cisza i nagle usłyszeliśmy gromkie „Hura“!

Cały batalion bez komendy zerwał się na nogi jak jeden mąż.

— To nasi szturmują! — wołano naokół. — Oho, już ich mają, już fasują Mochów! Hura! — Niech żyje pierwszy pułk!

Dużo trudu i perswazji użyć musiał kapitan Fleszar, aby powstrzymać uniesionych zapałem żołnierzy, rwących się naprzód, i zmusić ich do pozostania na miejscu. A tam, na przodzie, słychać było krzyki, wrzaski, jęki i od czasu do czasu karabinowe wystrzały oddalające się coraz bardziej.

Świtać prawie zaczęło, gdy od strony rosyjskich okopów ukazali się sanitariusze niosący ciała siedmiu poległych w tym ataku legionistów. Ułożono ich przy drodze w jednym szeregu, a wszyscy przechodzący żołnierze salutowali ich po raz ostatni.

Ze wsi wyjechali Beliniacy, oblani pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. W swych wysokich czakach, tworzyli tak piękny obrazek na tle pól, dopiero co rozświetlonych, że zachwycona wiara jęła ku nim machać czapkami i wołać:

— Niech żyją beliniacy!

A potem, dostrzegłszy pędzącego na czole tęgim kłusem sędziwego Sieroszewskiego:

— Niech żyje obywatel Sirko!

Ułani na to:

— Cześć „bomberakom!“

Zaś stary Sirko, nie mogąc powstrzymać rozpędzonego konia, przykładał raz za razem palce do ułańskiego czaka i prostując się w siodle, usiłował trzęsącą się ręką to wąsa pogładzić, to zsuwające się mu z nosa binokle poprawić.

Już ostatnie czako ułańskie zniknęło nam z przed oczu na zakręcie drogi, gdy kpt. Fleszar, dosiadłszy siwosza, poprowadził batalion boczną drogą wprost na dopiero co zdobyte rosyjskie okopy. Wiara ochoczo maszerowała, rozglądając się po polu, zrytym wnękami okopów, prawie co kilkanaście kroków.

Gdyśmy doszli do otaczających redutę drucianych zasieków, w szeregach nastąpiło jeszcze większe ożywienie.

— O, patrzcie! Tędy się nasi wdarli do okopów i w tym miejscu Moskalom front przerwali.

Podkopane i powywracane słupki, drut w kilku miejscach przecięty, pogmatwany i wdeptany w ziemię na wprost strzelnic, patrzących teraz na nas ciemniami otworów, świadczył o impecie atakujących. Świadczył też o panicznym strachu wroga, co się nawet opierać nie próbował, bo oprócz jednego zabitego zająca, trupów w tym miejscu jakoś widać nie było. Gdyśmy przekroczyli linię okopów i weszli do lasu, uwidoczniła się jeszcze lepiej panika, z jaką wróg opuszczał swe silnie umocnione pozycje. Cały las zarzucony był formalnie czapkami, namiotami, plecakami, karabinami, amunicją i wszelakim wojennym rynsztunkiem. Wśród worków ze spleśniałymi sucharami i rozsypanych puszek z konserwami czerwieniły się skrwawione strzępy bandaży i czerniały wzdęte od gorąca trupy pobitych granatami i szrapnelami Moskali. Nad tym wszystkim unosił się odór poczynających gnić ciał i specyficzny zapach dziegciu, właściwy carskiej armii.

Wyszliśmy wkrótce z lasu na gościniec wiodący do Józefowa. Tu zostaliśmy nagle zatrzymani. Usiedliśmy po obydwu stronach drogi w oczekiwaniu dalszych rozkazów i przyglądaliśmy się naszym ułanom. Rozwinięci w długą linię, wyławiali oni spośród zboża ukrywających się w nim wylękłych sołdatów, spędzając jeńców w jedną, coraz się powiększającą gromadę. Wkrótce nadciągnęła piechota austriacka. Pomaszerowała dalej. Otrzymaliśmy roz-

kaz cofnięcia się do lasu, gdzie też zaraz rozłożyliśmy się biwakując w przyjemnym chłodzie wśród liściastego starodrzewu.

Poszedłem obejrzeć jeszcze raz redutę, którą przedtem widziałem tylko przelotnie. Zeszedłszy w dół do głównego rowu strzeleckiego zdumiałem na widok schronów, stanowisk dla karabinów maszynowych, podziemnych korytarzy i różnych połączeń z okrąglaków drzewnych. Umocnienia te, przesypane grubo warstwami ziemi, zbudowano tak silnie, że pękające granaty z naszych polówek i haubic pozostawiły zaledwie widoczne ślady, nie rujnując nawet schronów ochraniających strzelnice od ognia szrapnelowego. Jedynie ciężkie granaty, miotane przez baterię armat tureckich, używanych na tym odcinku frontu przez armię austriacką, powywalały tu i ówdzie głębokie doły, kalecząc drzewa i obrywając z nich grube konary.

Obchodząc okopy spotkałem dwóch oficerów austriackich. Na twarzach ich wyczytałem również zdumienie. Jeden z nich odezwał się do mnie po niemiecku częstując papierosem:

— I te okopy zdobyliście wy, legioniści, w przeciągu jednego dnia zaledwie? Niesłychana to rzecz! Przecież to jest twierdza, w której wobec tych sił, jakie myśmy tu mieli, bronić się można było skutecznie całymi tygodniami!

Wyjaśniłem ciekawym oficerom swą łamaną niemczyzną, w jaki sposób reduta ta została zdobyta i pożegnany przez nich uprzejmie, wróciłem do batalionu. Tu wiara, rozebrawszy się do bielizny, leżała pokotem na rozesłanych pod drzewami kocach i namiotach, używając przyjemnego cienia i odsypiając dwie noce, spędzone tak niespokojnie. Poszedłem i ja za tym przykładem kładąc się pod rozłożystym dębem w rejonie swego plutonu.

Ale zaledwie zdążyłem zmrużyć oczy, gdy rozbudzony zostałem armatnią strzelaniną. To Moskale, którzy przeprawiali się teraz na lewy brzeg Wisły, puścili parę grana-

tów na drogę, którą ciągnęły austriackie tabory. Rozbito dwa wozy i położono trupem trzy konie.

Przypuszczając że nieprzyjaciel na tym nie poprzestanie i widząc, że taboryci zjeżdżają z drogi do lasu, podniosłem się z legowiska mając zamiar się ubrać. Butów, które zdjąłem, nie było koło mnie. Ktoś przechodzący obok odrzucił je o kilkanaście kroków w krzaki. Przeklinając nieproszonego kamerdynera udałem się po buty. Zaledwie zdążyłem schylić się po nie, rozległ się przeraźliwy świst lecącego pocisku. W to samo miejsce, z któregom się podniósł przed chwilą, padł granat, rozszczepiając pień drzewa na połowę i rozrywając w strzępy leżącego z drugiej strony drzewa żołnierza, a innego raniąc ciężko.

Przerażony, mając oczy zasypane piaskiem, rzuciłem się instynktownie w tył, w głąb lasu. Po kilkudziesięciu krokach dopiero oprzytomniałem. Zawróciłem zawstydzony do kompanii, która już opuściła niefortunne miejsce przenosząc się cokolwiek dalej. Ubrawszy się pośpiesznie dołączyłem do swoich. Moskale puścili jeszcze zza Wisły dwa granaty w las, które jednakże żadnej szkody nam nie wyrządziły, po czym strzelaniny zaprzestali. Teraz nic nam już nie mąciło naszego wypoczynku, spaliśmy też przez kilka godzin z rzędu jak zabici.

O godzinie szóstej po południu pomaszerowaliśmy do wsi, gdzie, połączywszy się z resztą brygady, rozpoczęliśmy pochód wzdłuż rzeki. Zatrzymaliśmy się na nocne kwatery po dojściu do Wesołówki, wsi położonej na urwistym brzegu Wisły.

Gdzieś w oddali na lewo krwawiła się łuna trawionego ogniem mostu, który Moskale podpalili w odwrocie. U stóp naszych Wisła toczyła swoje mętne fale szemrząc radośnie o dopiero co dokonanym odwecie za pogrom maciejowicki. Pośród żołnierzy krążyły pogłoski, że pójdziemy do Warszawy.

W DYMIE POŻARÓW

W DYMIE POŻARÓW

Przeszliśmy Wisłę pod Annopolem.

Po skleconym naprędce przez pionierów austriackich moście na pontonach, chwiejącym się i jakby uciekającym nam spod nóg, wiara stąpała ostrożnie rozstawiając po marynarsku nogi dla utrzymania równowagi.

Wydostawszy się na urwisty prawy brzeg rzeki kompania nasza pomaszerowała dalej nie czekając na przeprawę całego batalionu. Miejsce postoju było wiadome oficerom. Znajdował się ono niedaleko i szkoda było tracić czasu, przeznaczonego na dłuższy tym razem wypoczynek. Naprawdę należał się nam. Zasłużyliśmy na niego rzetelnie.

Minąwszy nędzną osadę nadrzeczną, na wpół spaloną i prawie zupełnie wyludnioną, zboczyliśmy z szerokiego piaszczystego gościńca na wąską, lecz twardą drogę polną, tu i ówdzie obsadzoną drzewami wiśniowymi. Znajdowaliśmy się już w Lubelskiem. Od razu to poznać można było po lekkiej falistości terenu, zaś jeszcze bardziej po żyznej glebie i zmienionym nieco krajobrazie okolicy. Na polach dojrzewała właśnie pszenica. Gdzieniegdzie z falującego zboża wyglądały półkopki świeżo skoszonego żyta, ale żniwiarzy jakoś nie było widać.

— Pewnie znowu zastaniemy pustkę na kwaterach — czyniono przypuszczenia w szeregach. — Moskale pewnie i stąd pognali ludzi ze sobą!

Przechodziliśmy właśnie koło poletka dojrzałego już żyta, którego kłosy, nabite ziarnem, pogmatwane były i zwisały bezwładnie na słomie.

— Grad, czy co?

Nie było czasu na sprawdzenie, co było przyczyną zniszczenia pięknego plonu wzdłuż drogi. Uwagę naszą zajęło niespokojne zachowanie się Rzeckiego. Oglądał się co chwila na tylne szeregi kompanii, wreszcie spytał ostrym tonem maszerującego przed nami i gawędzącego z Dorkiem dowódcę 3-go plutonu:

— Cholera! — Do cholery! Borowicz, gdzie jest twój pluton?

Flegmatyczny Borowicz nawet się nie obejrzał.

— Gdzież ma być? Ma-sze-ru-je!

— Diabła tam maszeruje! — Na wiśniach siedzi!

Tu dopiero uwagę naszą zwróciły piękne drzewa wiśniowe, obsypane dojrzałymi jagodami. Wyglądały tak nęcąco, że i my zboczylibyśmy chętnie i za przykładem łazików z trzeciego plutonu uszczknęli nieco soczystego owocu, aby ugasić dokuczające pragnienie. Ale obecność szarż nie pozwalała na to. Zresztą, co się pozwala takiemu „drobiazgowi", który jest ogonem kompanii, to nie uchodzi przecie „arystokracji" baonu.

Po prostu, nie wypada!

Więc połykaliśmy tylko ślinę mijając w powolnym marszu zarumienione owocem drzewa. Borowicz zbierał swe rozlazłe bractwo do kupy i gonił wraz z nim kompanię.

Zemściliśmy się jednak wkrótce. Zagrodził nam drogę olbrzymi wydęty kadłub padłego konia rozkładający się szybko w upale dnia lipcowego.

— Hej tam, trzeci pluton! — Brać płachty namiotowe i jazda po fasunek! Leży gotowy na drodze. Nuże, żywo!

Trzeciacy odgryzali się, zatykając nosy, i tak wśród wzajemnych przekomarzań doszliśmy do kolonii Dąbrowa, gdzie nasza kompania miała wyznaczony trzydniowy postój. Inne kompanie miały kwaterować w Hucie i sąsiednich przysiółkach. Pierwszy to raz od postoju w Kętach tak

nas „puszczono luzem", jak dowcipkowała wiara, nabierająca humoru na widok przyzwoicie zabudowanej kolonii, świadczącej o zamożności gospodarzy. Gdy jeszcze gdzieś tam w zbożu, w pobliżu jednej z chat, mignęło kilka chustek czerwonych, rozkrochmalono się na fest.

— Sikorki! — Są sikory, jak pragnę Boga!

— Będzie wyżerka, co się zowie!

— Patrzcie, co bydła mają. Że też Moskale nie zarekwirowali!

Mijamy zagrody i obejścia gospodarskie tonące w zieleni i czerwieni potężnych dzikich trześni i szlachetniejszych wisien. Wybiegają chłopi w parciankach i słomkowych kapeluszach, niewiasty z podkasanymi spódnicami wprost od południowego obrządku, śpieszą także na drogę i szczerzą zęby jak ser białe. No, już to w Lubelskiem od krasnych dziewuch aż się roi!

Stanęliśmy na jakimś skrzyżowaniu dróg. Następuje przydział chałup, wyznaczenie placu alarmowego i odmarsz sekcjami na kwatery.

Sekcjami!

Tego dawno nie było. Na naszą sekcję wypadło aż trzy chałupy, bardziej skupione od innych. Najpokaźniejszą z nich zajmują szarże i nasza czwórka sztandarowa.

Młody jeszcze gospodarz rozkłada gościnnie barwne kilimy na szerokich ławach z oparciami w paradnej izbie. Jest to równocześnie i sypialnia, o czym świadczą dwa łóżka ze stosem pierzyn i poduszek. Okna od much przysłonione chustami, tak że w izbie panuje przyjemny chłód i półmrok.

Ściągamy powoli oporządzenie z obolałych pleców i układamy je pod ławą, poczem Wuj, jak zwykle, zaczyna indagować gospodarza:

— Dawno stąd odeszli Moskale?

— Toć dwa dni temu przewaliło to draństwo bez naszą kolonię, niczym szarańcza. Sama ino piechota, kozaków,

na szczęście, nie było. Ależ uciekali, moiściewy! Drogi la nich nie stało, to walili ze swymi pulemiotami polami, na przełaj.

— Aha, to oni wam tak zboże stłukli, a myśmy myśleli, że to grad. A nie wypędzali nikogo do Rosji?

— Kozaków nie było, to i ostalim. Zresztą, to kolonia, nie daliby rady każdą chałupę podpalać, choć kaindziej całe wioski, nawet półkopki, gotowe na polach, poszły z dymem. U nas, Bogu dziękować, jak było, tak jest. Nic nie ruszyli, czasu nie było. Choć starszy jeden, co u nas w chałupie mleko pił, odgrażał się, że jeszcze powrócą, gdy tu Awstrijcom drugi Kraśnik zrobią — dodał chłop jakby z obawą.

— Nie zrobią, nie bójcie się. A może wam za nimi tęskno, co?

— Oj, co też pan mówi! Toć tu na nas bez cały tydzień skóra cierpła ze strachu, co to będzie, gdy zaczną wypędzać. A teraz to my jak nowonarodzone. Już nam Austriak nie straszny, skoro niby swój do takiego mizerunku własny naród przywiódł.

— Własny, powiadacie?

— Boga-ć tam nie! Toż my tu za ruskim od początku wojny jak mur stali, bo sołdaty gadali, że się za naszą Polskę biją, a teraz psubraty kradli, gdzie się i co dało. O, już oni tu nie wrócą, chybaby sprawiedliwości Boskiej nie było!

Dalszą rozmowę przerwało wejście gospodyni, dźwigającej glinianą dzieżę z kwaśnym mlekiem i opędzającej się od usmolonego dzieciaka, który, trzymając się matczynej spódnicy, krępował jej ruchy.

— Niech ta panowie trochę się ochłodzą. Chleb duchem przyniosę. A pójdziesz ty, smoluchu utrapiony! — zwróciła się do pięcioletniego może chłopca, jeszcze w barcha-

nowej długiej spódnicy paradującego. — Nie zastępuj ano gościom! Widzieliście go?

Ale dzieciak, którego matka chciała wyprowadzić z izby, rozwrzeszczał się tak, że go ojciec musiał wziąć na kolana do siebie.

— Jedynak pewnie?

— A jużci. Ale to dziwne, że przed ruskimi to się krył zawdy w komorze, a do panów jak w dym. Mój Boże, jak to nawet taki pędrak rozumie, że to swoi. Cichaj, synu, cichaj, bo się panowie śmiać będą, że taki duży kawaler beczy.

Ale brzdąc już się uspokoił na ojcowskich kolanach i, wsadziwszy dwa palce głęboko do buzi, oglądał nas z przejęciem.

Prybe sięgnął do swego chlebaka i, pogrzebawszy w nim, wydobył stamtąd blaszanego kogucika i pokazał dziecku.

— No, powiedz, mały, jak się nazywasz, to dostaniesz ptaszka. No?

Ale chłopiec odwrócił wstydliwie głowinę i nie wyrzekł ani słowa.

— Co to, nie chcesz ptaszka? To ja się nim pobawię. O, posłuchaj, jak śpiewa! No, jeszcze nie powiesz?

— Dyć powiedz panu — począł zachęcać ojciec. — E, niedojda z ciebie. Cóż to, nie wiesz, że ci Jasiek?

Chłopiec spoglądał pogardliwie na zabawkę i milczał w dalszym ciągu. Wreszcie zeskoczył raptownie ojcu z kolan, a przypadłszy do Prybego, wyciągnął mu do połowy błyszczący bagnet z pochwy.

— Jo nie ce ptoska, jo ce to!

Roześmieliśmy się wszyscy, lecz chłop, uważając snać postępek swego syna za wielce nietaktowny, zadarł mu bez ceremonii spódnicy i, wymierzywszy dwa tęgie klapsy, wyrzucił za drzwi pomimo naszych głośnych sprzeciwów.

— E, wisus to jest i tyla! Co tam będzie panom głowę zawracał!

W tej chwili wróciła gospodyni z ogromnym bochnem świeżego chleba i plastrem miodu na kwiecistym talerzu. Zaczęło się używanie. Gościnny gospodarz opuścił dyskretnie świetlicę, a gdy chleb, mleko i miód przeniosły się ze stołu do przepastnych leguńskich żołądków, pomyślano o myciu. Każdy z nas jął się grzebać w swym plecaku w poszukiwaniu mydła i ręcznika. Prybe wyciągnął kilka serwetek i barwnych chustek na głowę i zabierał się do wyjścia.

— Po co ci to? — zagadnął go któryś.

— Jakto po co? Idę na wieś poszukać sera i jaj, a to bardziej przemówi do pierwszej lepszej baby, niż austriackie szóstki lub korony, na których ludność tutejsza jeszcze się nie kapuje.

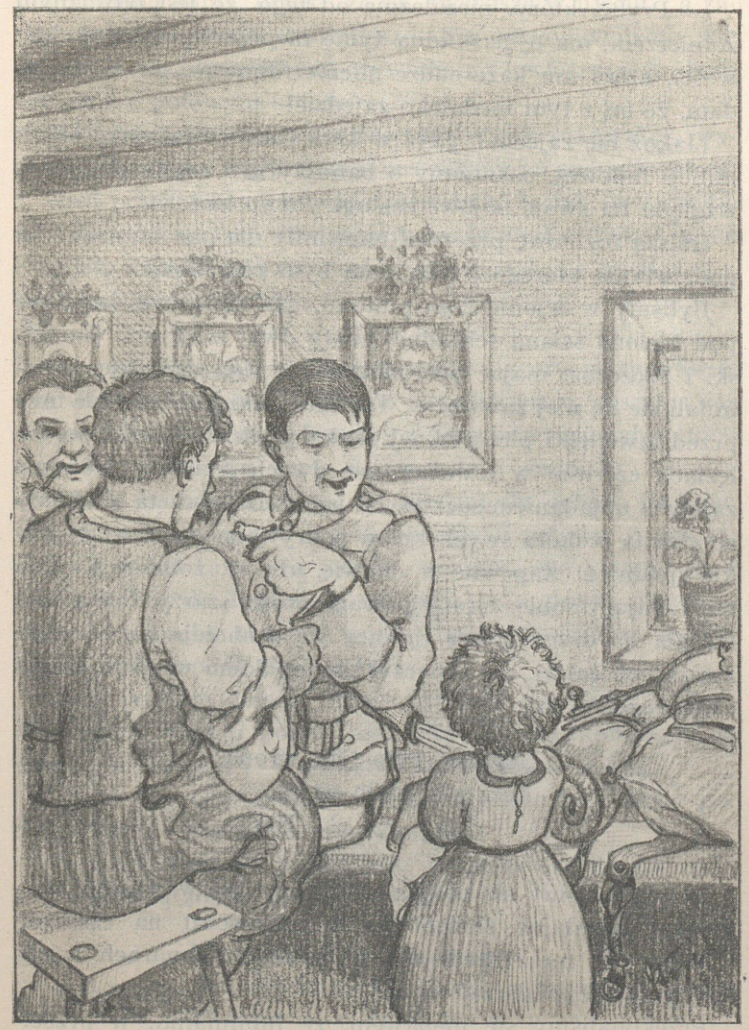
Obmywszy się dokładnie zimną wodą wprost pod studnią w podwórzu wyszliśmy we dwóch z Toldkiem Rosołowskim za wrota, aby przejść się trochę przed obiadem. Kuchnia nasza marudziła dnia tego z racji przeprawy przez Wisłę.

Pogoda była piękna. Upał zelżał już trochę. Lekki wiaterek od strony zachodniej niósł woń polnych ziół i dojrzewającego zboża. Poszliśmy spacerkiem wzdłuż kolonii, stąpając w cieniu olbrzymich trześni, obciążonych dojrzałym owocem. Mówiłem coś do Toldka, ale ten zdawał się mnie nie słuchać, nachmurzony jakiś i posępny. Wreszcie przemówił gwałtownie jakby chcąc wyładować trapiące go myśli:

— Nie podoba mi się ten Prybe — skąd wziął te chustki?

Toldek, mający nieskazitelny charakter (znany był w plutonie z tego, że zawsze ma coś do zganienia) był oburzony na Prybego nie na żarty.

Próbowałem go usprawiedliwić.



... Jo nie ce ptoska, jo ce to ...

Ale mój rozmówca nie dawał się jakoś przekonać mymi wywodami.

— Prybe, który, niezależnie od tego że jest odważnym żołnierzem, ma tę paskudną żyłkę nieprzezwyciężonej chciwości, która mu każe cudze mienie rabować. Ja ci powiadam, że on z tym niedaleko zajedzie!

(Jakoż nie zajechał, gdyż w 1919 roku został, jako oficer milicji ludowej, oskarżony o bandytyzm i rozstrzelany bez względu na swoje bojowe zasługi. *Przyp. autora).*

Dalszą rozmowę przerwał nam miły dla oka obrazek, dla podziwiania którego trzeba nam było przystanąć.

Byliśmy w rejonie 2-go plutonu. Na darniowej ławeczce pod bieloną ścianą schludnej chaty dwaj sierżanci: Kamiński i Szczerba, mając pośrodku siebie tęgą dziewoję, przymilali się do niej zawzięcie. Tuż nad nimi jeszcze dwie inne przedstawicielki płci pięknej skakały jak wiewiórki po gałęziach czereśni w towarzystwie dwóch legunów, rzekomo zajętych objadaniem soczystych jagód. Dziewczęta obciskały co chwila wokoło swych kolan podrywane przez wiatr lekkie spódnice. Zapewne w obawie, aby st. żołnierz Cieślik, nie zadający sobie, z racji powagi swojej szarży, fatygi wyłażenia na drzewo, lecz raczący się drobniejszym owocem z niższych gałęzi, nie zobaczył przypadkiem w górze czegoś ciekawego, co to:

„Czarne było jak wrona,
Lecz nie miało ogona.
Hej!"

Przyłączyliśmy się obaj z Toldkiem do swawolącej gromadki zagadując żartobliwie do dziewcząt na czereśni. Usiadły one teraz spokojnie na grubych konarach i jęły przygadywać niegorzej od nas.

Przekonaliśmy się niebawem, że lublinianki, w przeciwieństwie do wiecznie „wstydających się" kielczanek, mają

prócz urody wygadanie niepoślednie. Sierżant Kamiński, któremu na nasz widok wyrwała się z objęć i uciekła rozpłomieniona dama, orzekł, że są „twardsze w ujęciu", a zatem i do strawienia trudniejsze. Nie zastanawialiśmy się długo nad tymi mądrymi wywodami, zwłaszcza że dano już znać o gotowym obiedzie.

Pożegnawszy tedy „wiewióreczki" i „przepióreczkę", wyglądającą z poza węgła domu, wróciliśmy na swoją kwaterę. U wrót powitał nas z powagą pięcioletni Jasiek, już umyty, w świeżej katance dźwigający na brzuszku kilkakrotnie owinięty szeroki pas strzelecki z wlokącym się między stopami bagnetem Prybego.

* * *

Nasz wypoczynek w Dąbrowie stał się uroczystym świętem dla całej kolonii. Ubierano się odświętnie, gosposie zaś oczyszczały gwałtownie komory z przechowywanych w nich zapasów, zwłaszcza sera, jaj, miodu i śmietany. Wiara objadała się wiśniami aż do ścierpnięcia zębów flirtując zajadle z dziewczętami i rozprawiając o polityce z poważnymi gospodarzami. Ci jednak, pomimo okazywanej nam serdeczności, do Legionów odnosili się z pewną rezerwą. Nie wierzyli, aby ta garść wojska bez „pulemiotów" mogła wywalczyć niepodległość Polski.

Nagle po dwu dniach (miało być trzy dni wypoczynku), o wczesnej rannej porze nastąpiła zbiórka kompanii na placu alarmowym i — odmarsz nie wiadomo dokąd.

Zebrała się cała ludność wioski, słychać było ciche pochlipywania i głośniejsze westchnienia.

Nie tracąc fantazji opuściliśmy gościnne osiedle, jak zwykle, z pieśnią żołnierską na ustach:

„Nie płacz, luba, ukochana,
„Być żołnierzem — rzecz cacana!
„Mundur siwy, guzik błyszczy,
„Pół cetnara mam w tornistrze".

Tak śpiewał nasz pluton, podczas gdy tylne szeregi przekręcały już po swojemu następną zwrotkę:

„Spójrz na tego Manlichera:
„Zardzewiały, jak cholera!“

W sąsiedniej wsi znaleźliśmy resztę batalionu, w następnej tabory sztabu brygady i legionową artylerię. Maszerowaliśmy ostatni w ogonku brygady, której dwa pierwsze pułki wyruszyły ze swych miejsc postoju wcześniej od nas.

Późnym już wieczorem dotarliśmy do Popowa, lecz tu kwater dla nas zabrakło. Musieliśmy biwakować razem z taborami w zniszczonym przez Austriaków ogrodzie owocowym jakiegoś dworu. Nie rozbijano namiotów, bo noc była ciepła i pogodna. Legliśmy pokotem na trawie pomiędzy drzewami, a że nadeszła właśnie poczta polowa, rozpalono tu i ówdzie ogniska, aby przy blasku czerwonego płomienia odcyfrować listy od swych najbliższych i przejrzeć gazety. O spaniu nie było mowy. Ciągła krętanina taborytów, ich nawoływania wśród ciemności, przesuwanie wozów itp. do snu nie usposabiały. Przy tym, gdzieś niedaleko, prawdopodobnie pod Józefowem, huczały działa.

Noc była gwiaździsta. Wiara trwała przy ogniskach, podsycanych szczątkami parkanu, gawędząc półgłosem.

O świtaniu dopiero zmorzył mnie sen. Nie trwał długo, bo gdy słońce podniosło się wyżej, zbudziłem się, cały spocony i ociężały. Pół wiadra zimnej wody, które wyprosiłem w taborze i wychlustałem na siebie przy porannym myciu, orzeźwiło mnie nieco. Rozjeżdżone i zaśmiecone trawniki dopiero przy świetle dziennym obnażyły całe niechlujstwo żołnierza taborowego. Dwór był spalony, zgliszcza stodół i obór dymiły jeszcze. Ckliwy, duszący swąd, w połączeniu z końskimi wyziewami i smrodem pozostawionych przez Austriaków odpadków, może jeszcze i Moskali, przyprawiał niemal o zawrót głowy.

Opuściłem obozowisko i udałem się do wsi, na szczęście, nie spalonej. W najbliższych chałupach kwaterowali artylerzyści. I tu panowała ciasnota, smród i zaduch. Jeno nieco kwiecia i zieleni w ogródkach, przyprószonej ode drogi grubą warstwą szarego pyłu, cieszyło gdzieniegdzie oko. Wiara szwendała się tu i ówdzie, nawiązując rozmowy z gospodarzami, ale humoru nie było. Jakieś niespokojne oczekiwanie, przygnębienie, półsenność i ociężałość, zwykły objaw przy błądzeniu bez celu w rozpalonym powietrzu dnia upalnego, udzielił się i nam. Uciekła na czas pewien zwykła beztroska z czół.

Zaczęto się już gromadzić przy kuchniach, wypatrując, kiedy kucharze zaczną dzielić mięso na porcje, aby wyprosić jakiś gnat do ogryzienia dla siebie. Wtem nadszedł nagły rozkaz pakowania się do drogi. Nie zdążyliśmy się jeszcze opatrzeć, gdy o 12-tej, w największy skwar, nastąpił wymarsz w kierunku wschodnim.

W kurzu i spiekocie, niewyspani i głodni, z szumem w uszach, gnaliśmy tak, oblani potem, przez cztery godziny bez wytchnienia. Dopiero w Stefanówce dano krótki wypoczynek. Nadciągnęły kuchnie z wystygłym obiadem, wiara się pożywiła naprędce i — jazda dalej!

Maszerowaliśmy aż do wieczora, bez chwili spoczynku. Szliśmy jakimiś polnymi drogami lub na przełaj przez pola, potykając się na miedzach, plącząc w zbożu, aż gdzieś za Sosnową Wolą weszliśmy na kamienistą drogę między wzgórzami, gdzie spotkaliśmy piechotę niemiecką.

— Oho, są tu projsy, będzie pranie, co się zowie! — szeptano w szeregach, wzdychając do odpoczynku.

Ale wytchnienia nie dawano.

Już późnym wieczorem dotarliśmy do dymiących zgliszcz pobudowanej na wzgórzach wsi Dzierzkowice, straszliwie długiej i do cna spalonej. Gnaliśmy bez opamiętania, przystając czasami niewiedzieć po co i dlaczego. Chwilowe zma-

rudzenie nadrabialiśmy natychmiast biegiem na złamanie karku.

Około północy wstrzymano nas nagle. Satyr z oficerami, skłopotany wielce, jął się piąć na prawo od drogi, na dość strome wzgórze. Zabłysły w oddali elektryczne latarki, nam zaś nakazano zachować bezwzględną ciszę. Po chwili oficerowie zsunęli się z powrotem w wąwóz. Przyciszone: „W prawo zwrot!“ i batalion jął się wdrapywać pod górę, bez drogi. Jakiś czas błądziliśmy, na podobieństwo milczących zjaw, między spalonymi chałupami. Spieszony adiutant kręcił się niespokojnie szarpiąc konia za uzdę :

— Tabory nie przejdą!

— A niech je diabli wezmą! — odburknął Satyr, ale z tonu jego odpowiedzi można było wywnioskować, że wcale sobie tego nie życzy.

Po jakiejś godzinie tego kołowania znów nas sprowadzono do wąwozu na drogę. Do naszej czwórki przysunął się ppor. Ceceniowski.

— Co to było? — pytamy go szeptem.

— Już nic — odpowiedział nam w tenże sposób „ojciec plutonu“.

— Drugi pułk, maszerujący przed nami, natknął się na placówkę niemiecką, która go ostrzegła, że defiluje wzdłuż linii nieprzyjacielskich czujek. Gdyby się Moskale spostrzegli, byłby, panie, bigos. Dlatego zboczyliśmy z drogi, aby na wszelki wypadek być panami sytuacji na wzgórzu. Ale tabory przeszły, zatem niebezpieczeństwo, panie, minęło.

I znowu gnaliśmy biegiem wzdłuż tej niekończącej się wsi, tuż pod bokiem nieprzyjaciela, włażąc chwilami na rosyjskie czujki, nie zdające sobie widocznie sprawy, co to za wojsko. Podobnie też być musiało w czasie słynnego marszu Komendanta na Ulinę - Małą.

Wiara zaciskała zęby, mruczała lub też klęła po cichu na ten wariacki marsz, ale fason został utrzymany i, co dziwniejsza, nie było ani jednego marudera!

O świcie dotarliśmy do wsi Wyżnianki dymiącej również świeżymi zgliszczami spalonych chałup. Skręciliśmy w lewo i przez rzeczkę Wyżnicę, po jakichś kładkach wyszliśmy na piaszczystą drogę, zagłębiając się wkrótce w las, na południe od Urzędowa. Las ten huczał już, wył i trzaskał od ognia artyleryjskiego. Od rozproszonych tu maruderów austriackich dowiedzieliśmy się, że bitwa ma się już ku końcowi. Walczyła tu w nocy czeska dywizja i jak zwykle, została kompletnie rozbita i wyfasowana, zaś zajęte już przez nią miasteczko zostało ponownie opanowane przez Moskali i przez nich podpalone.

— Aha! Tośmy dlatego gnali całą noc bez wytchnienia, ażeby znów nami zatkano czeską dziurę. Psiakrew! Że te Pepiki na każdym odcinku frontu piwa nawarzyć muszą, a my karków swoich nadstawiać! Żeby to przynajmniej szło na rachunek Polski, nie zaś Austrii. — W każdym razie ciepło nam tu będzie, bo wróg, rozzuchwalony powodzeniem, postara się dać nam tęgiego bobu. A no, raz kozie śmierć, a teraz spać!

Po tym filozoficznym zakończeniu swych rozmyślań, owinąłem się jak inni płachtą namiotową i momentalnie zasnąłem, nie zwracając uwagi na artyleryjski pojedynek, który się wywiązał właśnie między pozycjami. Szumiące granaty przelatywały, zda się, tuż nad wierzchołkami drzew, wymijając się nawzajem i jakby przystając dla nabrania tchu w powietrzu. Tworzyło to tak miłą kołysankę, jakiej najtroskliwsza matka dla swej odrobiny wymyśleć nie jest w stanie. Spaliśmy też do południa, dopóki nas nie zbudzono po fasunek.

Obiadu nie było, otrzymaliśmy tylko chleb i parę kostek kawy, której nawet ugotować nie można było, bo ze względu na „macanie“ rezerw przez nieprzyjaciela zabroniono rozpalać ognisk. Poszedłem jednak aż do Wyżnicy po wodę i przystawiwszy kociołek do żarzącego się węgla jakiejś stodoły ugotowałem pyszną kawę. Pochłonąłem

swoją porcję, napełniłem manierkę na zapas i jeszcze pół kociołka do lasu dla „sitwy“ przytaszczyłem.

Ogień artyleryjski zelżał trochę, jednak „macanie“ grubszymi pociskami nie ustawało. Batalion został pod wieczór przesunięty do innej części lasu, zaś po nastaniu zmroku nadjechały wreszcie kuchnie.

Noc przeszła spokojnie i ranek dnia 9 lipca zastał nas jeszcze na tym samym miejscu. Poszły od nas patrole do Urzędowa i wróciły po południu ze świeżą kiełbasą i słoniną, zakupioną od mieszczan kryjących się w piwnicach spalonego miasteczka. Okazuje się, że Moskale, spaliwszy i złupiwszy Urzędów, wycofali się na „uprzednio przygotowane pozycje“ za rzeczką Urzędówką i stamtąd czynią wywiady wysyłając swe patrole za rzekę. Patroli tych ogromnie obawia się ludność, zamieszkała w niespalonej części Urzędowa. Drobni przeważnie rolnicy i chałupnicy drżeli o swoje budynki i inwentarz. Dlatego też naszych strzelców przyjmują bardzo serdecznie i gościnnie. My ze swej strony staraliśmy się ratować resztki Urzędowa przed zniszczeniem i ze wszystkich oddziałów wysyłano do przedmieść i samego miasteczka silne patrole, które przepędzały podkradających się stale pod budynki Moskali.

Dnia następnego wyruszyłem i ja na patrol z Jasiem Michalskim, Wymysłowskim i Wujem. Po drodze zaś przyłączył się do nas Dziuk. Dotarliśmy z łatwością do rynku spalonego miasteczka, w którym ocalały od pożaru dwie czy trzy piętrowe kamienice. W piwnicach tych domów, jak nam powiedziano, miało się znajdować kilka mieszczańskich rodzin, które przetrwały tu cały czas walki o Urzędów. Wystawiali oni teraz stale warty, mające uważać, co za goście zbliżają się do nich. Jeśli to były patrole rosyjskie, całe bractwo kryło się przed nimi jak króliki w przygotowane doły. Naszych zaś witano z daleka i zapraszano do suteryn i piwnic. Żywili się ci ludzie resztkami zapasów, które znajdywali w na wpół zasypanych gruzem piwnicach.

Rzeźnicy chwytali wałęsające się, często osmalone ogniem pożaru, świnie, bezpańskie teraz i zdziczałe, i czynili zapasy wędlin i słoniny nie tylko dla garstki pogorzelców, ale i dla przygodnych gości, od których spodziewali się opieki i pomocy.

Zaproszeni przez wartującego przed domem chłopca, zastaliśmy właśnie w głębi jednej z suteryn rzeźników przy pracy. Naładowaliśmy swe plecaki świeżą słoniną, która przydała się nam znakomicie jako okrasa do ziemniaków, po które chodziliśmy do ogrodów spalonej wsi Wyżnianki. Z sąsiedniej piwnicy wyszli też na nasze spotkanie inni pogorzelcy, między którymi było trochę kobiet i dzieci, aby się upewnić, że nie „odstąpimy“ od Urzędowa. Dopytywano się nas, czy prędko wypędzimy „tych zbójów“ (niedawno „naszych“), którzy w tak bezlitosny sposób pędzili nahajami spokojną ludność na swoje tyły. A przecież niszczyli oni po barbarzyńsku piękne osiedla tej bogatej ziemi, która była przez nich w ciągu prawie półtora wieku wyzyskiwana, jako jedna z najurodzajniejszych gubernii „Kraju Przywiślańskiego“. I tu także, podobnie jak w kol. Dąbrowa, nie mogło się tym ludziom pomieścić w głowach, aby dotychczasowi opiekunowie, którym oddano przecież na tę wojnę sporo „armatniego mięsa“, mogli się zmienić tak od razu we wściekłych wilków. Wilków, ścigających swych posłusznych i wiernych poddanych, jak zbrodniarzy, czyniąc z zamożnych ludzi ostatnich nędzarzy w ciągu kilku zaledwie godzin. Zaklinano nas teraz, abyśmy bronili tych oto resztek ocalałych żywotów i kamieni i wzięli pomstę na wrogu za jego bezmyślne gwałty i grabieże. A gdy jakaś siwowłosa niewiasta przesyłała nam na odchodnym błogosławieństwo swoje, ścisnęły się nam serca. Odczuwaliśmy dobrze tę straszną niedolę ludzi. Równocześnie piersi nasze rozpierała duma, że nie jesteśmy już tymi „pruskimi parobkami, psia ich mać“, ściganymi nienawistnym wzrokiem pozbawionego pracy łódzkiego motłochu. Przeciwnie, witani jesteśmy

jako zbawcy i żegnani jako mściciele odwiecznych krzywd Narodu, odchodzimy w blasku dokonanych już czynów, krwawych ofiar i przebytych trudów. O, z jakąż ochotą wypełniać będziemy i nadal to posłannictwo, z jakąż radością oddamy do ostatniej kropli krew serdeczną, byleby jeno na tej umęczonej ziemi mogło być wcielone w życie hasło, w imię którego ginęły już miliony: „Wolność, Równość, Braterstwo!".

Podniosły nastrój ducha, jaki uczuliśmy po rozrzewniającym pożegnaniu nieszczęśliwych pogorzelców, nie przeszkadzał nam jednak w bacznej obserwacji wszystkich zakamarków leżącej w gruzach mieściny. Zaraz za osmolonym przez ogień, podziurawionym przez pociski kościołem, gdzie ciągnęło się długą linią we wschodnią stronę ocalałe od pożaru przedmieście, dostrzegliśmy za węgłem jednej z chałup lufę wystającego karabina, a tuż nad nią odkrytą głowę strzelca zmierzającego się do strzału.

Wykonaliśmy w jednej chwili manewr okrążający i przyskoczyliśmy z tyłu do chłopca, może 16-letniego, który na nasz widok opuścił karabin, nie okazując żadnej obawy, ani nawet zaniepokojenia.

— Te, Wojtek, co tu robisz? — zapytał Wuj wyrostka.

— Chałupy ano pilnuję, zeby nos te zbóje nie spoliły, bo się tu cięgiem kręcom.

— A skąd masz karabin?

Chłopak ukazał ręką za siebie, na szerokie płaskowzgórze górujące nad okolicą:

— Dyć tam tego je jak gnoju! A i smrodu tys nie brakuje, antyleria nabiła Moskolów, ze teraz woniają po polu skrós, iść z kosą nie uredzi, bo w nosie kręci nikiej gazem.

— To czemu ich nie pochowacie?

Oczy chłopca błysnęły nienawiścią.

— Niech ta gnijom, psy parsywe! Po drugiej stronie, za rzykom, moc Awstryjców padło. Ale tych ludzie chowają pomału, sam pomagałem. A te niek gnijom!

— Macie może mleko w chałupie?

— Duchem przyniesę!

Usiedliśmy w sadku pod wiśniami, a za chwilę starszy już gospodarz, z miejska ubrany, podszedł do nas z pełną bańką pozdrawiając uprzejmie.

— Mój parobek nie chciał iść z mlekiem. Boi się, że mu panowie karabin odbiorą, a my przecie bronić się musimy.

— Nie obawiajcie się nas — uspokoił obawy gospodarza dowódca patrolu. — Możecie sobie pukać do Moskali, ile razy wam się tylko spodoba, bo w tę stronę nasze patrole nie docierają. Musicie sami się pilnować, podpalaczom nie dawać dostępu.

— Kiedy to trudno, panie, odróżnić z daleka, z czym kto przychodzi. Pali nie tylko wojsko, ale i cywilni jacyś się kręcą, podobno są całe oddziały takich, co mają rozkaz podpalania nawet zboża na pokosach w polu. Tacy właśnie całą Wyżnicę puścili z dymem, chodząc od chaty do chaty, a potem na furmanki i dalej za wojskiem w nasze strony! Teraz się Popkowice palą, choć to też prawie że na pozycji.

— Chwytajcie takich i oddawajcie ich naszym patrolom, gałęzi w lesie nie brakuje. Szpiedzy to być muszą!

— Toteż pilnujemy dzień i noc — westchnął gospodarz, zaś po chwili, gdy blaszanka z mlekiem przeszła do rąk ostatniego uczestnika patrolu, zapytał nagle głosem niesmiałym i cokolwiek drżącym:

— A jakże to, moi panowie, z Polską? Będzie teraz już sama w sobie, czy jak?

Spojrzeliśmy zdumieni na chłopa, zaś Wuj zaczął mu wyjaśniać:

— Do tego, żeby Polska mogła być sama w sobie, trzeba jedności całego narodu, bo my dopiero torujemy drogę wam, ludowi polskiemu, który musi się nareszcie ocknąć i łupić nie tylko tego wroga, który odchodzi, ale i tego, który zajmie jego miejsce zaraz za nami. Toteż radzę wam, gospodarzu, abyście powiedzieli to i waszym sąsiadom: zbierajcie broń

teraz, gdy ona jeszcze na ziemi leży, i chowajcie, ale dobrze. Amunicję też, żeby zapas był na tę ostatnią godzinę, która wybije wnet.

Teraz chłop otworzył z kolei ze zdumieniem oczy:

— To to tak? A tu chłopaki nasze zbierają się do Legionu iść, panom w wypędzaniu Moskala pomagać!

— Niech lepiej jeszcze w chałupie siedzą i ojcowizny pilnują — pouczał dalej chłopa Wuj-Kret, były bojowiec i agitator. — Ale w strzelaniu niech się ćwiczą dzień i noc, jak i teraz to robią, bo się przyda i na tych, których chowacie tam, nad rzeczką, bo Polska musi być sama w sobie, to znaczy wasza, ludowa i niepodległa, rozumiecie?

Błysk zrozumienia rozświetlił w tej chwili siwe oczy chłopa, aby przygasnąć nagle pod wpływem jakiejś nowej myśli niepokojącej silnie nieruchawy mózg.

— Bo to powiadają niektórzy, że jak Polska będzie sama w sobie, to z nią i pańszczyzna wróci?

— Bzdury wam plotą ciemni ludzie, a wy im wierzycie. Któż to walczył z caratem w 1905 roku, jak nie robociarz polski? O Polskę niepodległą walka idzie nie od dziś, a wy tego jeszcze zrozumieć nie możecie. Dopiero świtać zaczyna, gdy wam się już dach nad głową pali! Pamiętajcie, że Polakom wolności nikt darmo nie da, muszą ją sobie wywalczyć sami i sami się postarać o to, żeby walczyć było czym. Więc chowajcie broń na on czas. Wtedy idźcie na pomoc tym, którzy Polskę niepodległą budować na tych gruzach będą i...

— Baj baju, będziesz w raju! Chodź Wujek i nie zawracaj człowiekowi głowy, bo mu się wszystko w głowie pokiełbasi i na bigos skwaśnieje — wtrącił się ob. Dziuk. — Dziękujemy, panie gospodarzu, bardzo pięknie za mleko. A rady kolegi posłuchajcie i zachowajcie karabinów, ile się da. Przydadzą się, może już niedługo.

Wuj ociągał się jeszcze z odejściem, ale gdy dowódca patrolu ruszył pierwszy, poszedł chmurny za nami, zostawiwszy chłopa stojącego w sadku z rozdziawioną gębą.

Wywiązał się w powrotnej drodze spór polityczny, tak zażarty, żeśmy się nawet nie obejrzeli, gdy znaleźliśmy się już w lesie, w swojej kompanii, która właśnie szykowała się do przemarszu na inne miejsce.

Zajęliśmy północny skraj lasu, w którym jedna kompania pozostała w odwodzie, my zaś okopaliśmy się na płaskowzgórzu. Spędziliśmy noc spokojnie. Podobno Mochy cofnęli się, opuszczając całkowicie teren, zdobyty na Austriakach, gdyż od rana 11 lipca mieliśmy pogotowie do marszu. Wymarsz jednak nie następował, że zaś cisza, panująca na linii bojowej, działała na nas denerwująco, Michaś Tomaszewski wyprosił się na patrol. Z Michasiem poszedłem ja, Zdzich Rosołowski, Jędrysik i Skowron, razem pięciu ludzi. Mieliśmy rozpoznać okolicę na lewo od Urzędowa, to znaczy całe obszerne płaskowzgórze, położone na prawo od drogi Budzyń—Urzędów.

Teren tu był odkryty, ale nieżżęte zboże mogło nam, w razie ostrzeliwania lub ścigania przez nieprzyjaciela, służyć za doskonałą osłonę.

Wyszliśmy z okopów już po obiedzie i posuwaliśmy się ostrożnie gęsiego między miedzami, baczni na wszystko, co się wokoło nas działo. Przeszliśmy tak kilkaset metrów. Przy jednym z kopców granicznych natknęliśmy się na naszego obserwatora artyleryjskiego, który był w towarzystwie rosyjskiego „praporszczyka", wyglądającego dość inteligentnie. Obaj rozmawiali żywo po rosyjsku. Nasz oficer, wpółklęcząc na kopcu, notował coś pilnie, sięgając niekiedy do zawieszonej na szyi lornetki. Moskal opowiadał coś bardzo rozwlekle wskazując szerokim gestem prawej dłoni różne punkty w terenie. Stanęliśmy w pobliżu przysłuchując się przez chwilę podnieconej mowie rosyjskiego oficera. W mig też zrozumieliśmy, o co rzecz idzie. Nawet Zdzich, który nie rozumiał ani słowa po rosyjsku, wydął pogardliwie usta:

— Zdrajca!

— Skąd wiesz? — usiłowałem stanąć w obronie sympatycznie wyglądającego Moskala. — A może to nasz wywiadowca?

— W takim razie czemu po polsku nie gada?

— I to prawda! Zresztą szpieg to, czy judasz, zna widocznie swój fach, bo naszemu porucznikowi aż się oczy świecą z ukontentowania. Będą mieli nasze rybołuki dobrą robotę!

Dwaj oficerowie tak byli zajęci badaniem linii horyzontu, że nie zwracali na nas najmniejszej uwagi. Pogapiliśmy się na nich jeszcze trochę, po czym ruszyliśmy dalej, rozgarniając kolbami karabinów plączące się nam wokoło nóg zboże.

Nagle ogarnął nas trupi zapach. Okazało się, że Michaś wdepnął w rozkładającego się już trupa zabitego Moskala i omal że się na niego nie przewrócił.

— No, wiara, zatykać nosy!

Wyciągnęliśmy chusteczki z kieszeni. Co kilka kroków teraz pośród pogmatwanego zboża leżały ciała pobitych Moskali. Rzadko gdzie leżał karabin. Sakwy płócienne poległych żołnierzy były już przez kogoś przetrząśnięte i porozrzucane. Niektórzy byli bez butów, a nawet spodni.

— Widać, że chłopi z Urzędowa czasu nie tracą. Nauka Wuja w las nie poszła! — uczyniłem głośną uwagę, opowiadając kolegom zajście na wczorajszym patrolu.

— Patrzcie no, karabin maszynowy! — zawołał nagle Skowron z lewego skrzydła.

Rzeczywiście, w zbożu leżał porzucony i wywrócony bokiem rosyjski kulomiot systemu Maxima, z taśmą niewystrzelonych naboi w paszczy, a obok trzy martwe ciała z obsługi.

— Nawet nie uszkodzony! Możebyśmy go tak zabrali ze sobą do okopów?

Ale Michaś potrząsnął niechętnie głową:

— Ciężka bestia i niewygodnie będzie wlec go ze sobą. Za daleko od okopów.

— Eh, żeby tu był Obidniak z drugiego plutonu, on by tę maszynkę sam na plecy zabrał, żeby przy niej swoją szarżę odzyskać! — ubolewał Skowron.

— Grat to jest, coprawda, — podjął znowu sprawę Zdzich — ale my i takiego nie mamy. Możeby jednak zabrać?

Ale po uważnym obejrzeniu kulomiotu okazało się, że celownik jest uszkodzony, a więc „grat" rzeczywiście do natychmiastowego użytku nie zdatny. Porzuciliśmy go tedy w zbożu i poszliśmy dalej.

Po przeciwnej stronie wzgórza już nie było trupów, ale panowała martwa cisza, niczym na cmentarzysku. Nieprzyjaciela ani śladu. W polu ani żywego ducha. Między zagrodami, nie spalonego z tej strony Urzędowa, również pustką wiało, nawet żadnej krowy na pastwisku. Tylko czarne ptactwo ciągnęło ociężale tuż przy samej ziemi w stronę lasu na nocne kwatery. Słońce wydłużało już nasze cienie na polu. Skowron chciał, byśmy poszli do wsi na mleko, jednak Michaś stanowczo sprzeciwił się temu.

— Późno już jest. I tak kupę czasu zmarudziliśmy. W tył zwrot, wracamy do okopów!

Ruszyliśmy z powrotem cokolwiek prędzej. Szarzeć już poczynało, gdyśmy weszli na drogę wiodącą do naszego odcinka okopów. Wnęki zastaliśmy puste, z batalionu ani śladu!

Co tu teraz robić?

Przed nami szumią żałośnie wierzchołki sosen, w lesie rozlegają się trzepotania ptaków, układających się na nocny spoczynek, a w polu dokoła nas — pustka i noc.

Gdzie mógł się podziać batalion?

— Niedarmo było pogotowie marszowe — zakonkludował Zdzich. — Batalion musiał się posunąć naprzód, a więc gońmy także przed siebie, to go może jeszcze dopędzimy!

Nie było innej rady. Michaś miał w plecaku latarkę elektryczną, zaczęliśmy badać ślady pochodu baonu.

Zajęcie to pochłonęło nas całkiem i przeobraziło na małą chwilę w dzikich Indian, tropiących zaciekle „blade twarze" w swej ojczystej puszczy, ale uwieńczone zostało przy wspólnym wysiłku pewnym rezultatem. Znaleźliśmy mianowicie miejsce stratowane na jednej z leśnych dróżek, gdzie batalion widocznie zbierał się w kolumnę. Stąd ślady prowadziły na pole, toteż puściliśmy się biegiem w tym kierunku, „węsząc" tuż przy samej ziemi, aby się nie zbić z tropu.

Po jakimś kwadransie usłyszeliśmy przed sobą suchy jakby szczęk maszerującego oddziału i urywane poświstywanie przy akompaniamencie ustnej harmonijki.

Poznaliśmy melodię. Była to polka naszego batalionu, skomponowana przez Szydła, którą Pecykiel koncertowo teraz wygwizdywał w marszu. A więc jesteśmy w domu!

Jakoż wkrótce dopędziliśmy ogon swego batalionu, przedefilowaliśmy biegiem wzdłuż kolumny i, zziajani, zameldowaliśmy się Rzeckiemu.

— Cholera! Do cholery, co się działo z wami?

— Nic. Zamarudziliśmy na patrolu. Znaleźliśmy kulomiot rosyjski.

— I pewnie wlekliście go ze sobą bez potrzeby?

— Właśnie chcieliśmy.

— Dobrze już. Jazda do szeregu!

— Rozkaz!

Wesoła piosenka i swobodne zachowanie się kolegów świadczyło o tym, że wróg musiał być daleko. Dowiedzie-

liśmy się, że stanowimy odwód brygady i przechodzimy na inny odcinek, do drugiego lasu, bliżej Urzędowa.

Przybywszy tam rozbiliśmy namioty, przed którymi zaczęły wkrótce pryskać wesoło ogniska. Wiara obsiadła je kołem, z menażkami w garściach i na kolanach, pochłaniając chciwie gorącą kawę z kuchni i sypiąc żartami, co się zowie. Gdyby je posłyszał jakiś domorosły świętoszek, chybaby mu włosy dęba stanęły na głowie. Naturalnie gdyby takowe posiadał, bo tacy to przeważnie łysi. Ale ponieważ w naszym młodym gronie nikt łysiną nie świecił, więc paliły się nie tylko mózgi, ale i serca. Od strony biwaku 3-ciej kompanii doleciała do naszych uszu zwrotka jednej z chóralnych pieśni, którymi legun uprzyjemniał sobie czas w każdej okoliczności swej żołnierskiej tułaczki:

„Idą polscy żołnierze-mściciele,
„Prowadź-że ich, Zwycięzco-Aniele.

Ucichły raptem słone koncepty i dowcipy, w różnych środowiskach przez różnych ludzi pozbierane i w komórkach mózgowych, niby w starym lamusie, bez żadnych pielęgnacji przechowywane całymi latami. Zamarły nagle huczne śmiechy i głośne oklaski. Myśli jak ogniste błyskawice pobiegły ku czasom minionym, niezbyt odległym, smutną tradycją tak z nami związanym i tak nam do serc przypadającym!

„I znów Polska powstanie, jak zorza,
„I znów będzie od morza do morza —

śpiewał chór. Oblegający ogniska chwytali w lot potężną melodię. Huczał i szumiał stary las pod Urzędowem naszą pieśnią i niósł słowa aż do pierwszej linii okopów, tam, skąd przed chwilą ustąpić musiał wróg. Trzykrotnie prze-

wyższająca nas liczbą 24-ta austriacka dywizja nie dała mu rady, a przed nami musiał uciekać.

„W mury Warszawy, Lwowa i Wilna,
„Kto Polak, z nami, czyja dłoń silna,
„Ten pójdzie z nami,
„Marsz z Legionami!

* * *

Artyleria waliła od samego rana. Bowiem pułk Berbeckiego sforsował o świcie rzeczkę Urzędówkę i podsunął się blisko pod rosyjskie okopy zajmując równocześnie niespaloną część Urzędowa za rzeką.

Około południa ogień przycichł nieco i mieliśmy w lesie ciekawe widowisko, na które zbiegła się wiara ze wszystkich kompanii. Do naszego namiotu zajrzał Pecykiel wołając:

— Szpiegów przyprowadzili! Chodźcie zobaczyć szpiegów!

Nie lada to okazja, zwłaszcza dla nas, frontowców, obejrzeć sobie z bliska takich kandydatów na gałąź. Zerwała się cała sekcja, podążając za innymi do drogi, przy której właśnie zatrzymano szpiegów wraz z końmi i wozem. Schwytać ich miały patrole bojowe 2-go pułku w chwili, gdy usiłowali przedostać się niepostrzeżenie na naszą stronę. Wydała ich ludność Urzędowa. Jednego z nich widziano wśród podpalaczy puszczających osadę z dymem.

Po uzyskaniu tych dorywczych wiadomości, zbliżyliśmy się do zwartej gromady kolegów, którzy ścisłym kołem otoczyli miejsce, gdzie znajdowali się zatrzymani szpiedzy. Przecisnęliśmy się jednak jakoś do środka koła, wewnątrz którego stało dwóch ludzi. Jeden z nich rzeczywiście podejrzanie wyglądał: w granatowych spodniach, jakie nosiła

rosyjska policja, w butach z cholewami i w bluzie z rosyjskiego materiału wojskowego, uszytej na cywilną modłę. Figura niby niepozorna, lecz twarz, osłonięta szarą cyklistówką, niezwykle ruchliwa i siląca się na zachowanie pewności siebie, kazała przypuszczać, że nie byle jakiego ptaszka mamy w swym ręku. Obok stał młody parobczak wiejski, najzwyczajniejszy typ niedojdy, który trzech by zliczyć nie potrafił. Właśnie do schwytanych podszedł nasz „kanarek". starszy już, z małą blond bródką i łagodnymi niebieskimi oczyma. Wcale nie wyglądał groźnie. „Kanarek" rozpoczął śledztwo tuż na miejscu w naszej obecności, najpierw od tego, że kazał warcie odprowadzić parobka dalej w las. Pozostawszy sam jeden (nie licząc nas) z podejrzanym cywilem obrzucił go najpierw swym bladym, chłodnym wzrokiem. Ten sprężył się pod tym badawczym spojrzeniem, potem skulił wewnętrznie i rzucił oczyma w bok, w naszą stronę. Napotkawszy setkę oczu rozognionych i poważnie skupionych począł dygotać na całym ciele najpierw od nóg zachowując jednak na swej twarzy maskę mdławego uśmiechu. Nagle Wuj, który się dopiero teraz do nas przecisnął. krzyknął na głos:

— Na Boga! Toż ja tego drania znam! To jest starszy strażnik z Radomia, słynny łapacz, który świadczył w mojej sprawie i niejednego z bojowców wsypał. Przez niego poszli na szubienicę albo do ochrany. Tak, to on, niewątpliwie!

Na ten niespodziewany okrzyk szpieg drgnął, zbladł śmiertelnie i dla niepoznaki zaczął chustką, trzymaną w ręce. ocierać pot z czoła. Żandarm patrzył weń uparcie tym samym nieubłaganie zimnym wzrokiem. Miał już w swej urzędowej torbie, fałszywy zapewne, paszport schwytanego. większą sumę pieniędzy w rosyjskiej i austriackiej walucie i różne drobiazgi, odebrane przy pierwszej osobistej rewizji przez patrol. Sięgnął teraz po chustkę szpiega, wyciągnął mu ją ze spotniałej dłoni, sprawdził monogram i dowód

schował do torby. Następnie kazał badanemu zdjąć z szyi krawat i kołnierzyk, gdy zaś ten drżącymi palcami wykonał polecenie, wziął obydwa przedmioty do ręki i obejrzał je uważnie. Kołnierzyk był sztywny, „masowy", bez żadnych szczególnych znaków, natomiast krawat posiadał pod spodem katowicką firmę.

— Tak, tak! — drwiła wiara. — Po co mu ten krawat? Dostanie inny, mocniejszy!

Ale zaczęło się dochodzenie.

— Dawno byliście w Katowicach?

— N-nie. To jest byłem, ale już dawno, za przepustką (Krawat był nowiusieńki).

— I tam kupowaliście krawat?

— Tak.

— A kołnierzyk?

— Kołnierzyk w Łodzi.

— Też za przepustką?

— Nie. Ja w Łodzi pracowałem w fabryce, a gdy wojna wybuchła i fabryki stanęły, pojechałem do Radomia, do krewnych, a teraz jadę do ojca, w Sandomierskie.

— Własnymi końmi?

— Nie. Konie i chłopca nająłem.

— Kiedy chłopiec powiada, że został wzięty na podwodę?

Szpieg stropił się nieco.

— No tak, brało go wojsko, ale potem ja go wynająłem.

— Coście robili trzy dni temu w Urzędowie?

— Czekałem końca bitwy, żeby się przedostać do ojca.

— Skąd wiedzieliście, kto tę bitwę wygra?

Szpieg zmieszał się znowu i mówił już z pewnym wysiłkiem.

— To było widoczne. — Wojsko odstępowało...

— Dlaczego przebywaliście razem z podpalaczami?

— Może i razem, ale ja nie podpalałem, a dla niepoznaki przestawać z nimi musiałem, bo inaczej by mnie zatrzymali.

— Dość. Warta, pilnować dobrze!

Żandarm odszedł do chłopca. Przebrany szpieg, bezwątpienia strażnik rosyjski, zdemaskowany przez Wuja, stał pod pręgierzem setki oczu, wlepionych weń uporczywie. Po jego ruchliwej, niesympatycznej twarzy, ocienionej małym ciemnym wąsikiem, przelatywały jakieś bolesne skurcze i pot spływał całymi strugami. Usiłował jednak gawędzić z wiarą wysławiając się czysto po polsku.

— Szanowny pan się na pewno myli — zwrócił się do Wuja. — Może jestem podobny do jakiego strażnika. Nawet te spodnie, które mam, od jednego z nich kupiłem, ale w policji nie służyłem nigdy. Pan mnie krzywdzi niesłusznie. Tu pewny swego, oburzony do głębi Wuj, zaczął wyliczać nazwiska i pseudonimy „wsypanych" bojowców.

— A tego znasz? Aha, nie słyszałeś! A tego, a tamtego także nie widziałeś na oczy? Będziesz wisiał, nędzniku, już ja w tym. Myślałeś, że otumanisz Austriaków, pewno nie po raz pierwszy, ale sprawiedliwość Boska oddała cię w nasze ręce. My rosyjską policję znamy. Mówię ci, będziesz wisiał!

Z głębi lasu doszły nagle uszu naszych wrzaski odosobnionego o trzydzieści kroków parobka, które jednakże ucichły wkrótce. Za chwilę nadszedł żandarm i zwrócił się do szpiega z obojętnym „wyjaśnieniem":

— No, twój parobek wyśpiewał wszystko, ale my jeszcze czegoś poszukamy. Wasze nazwisko i przydział, obywatelu? — zwrócił się do Wuja.

— Kret, z pierwszej kompanii.

— Będziecie nam może potrzebni — mówił żandarm notując. — Dalej, chłopcy, bierzcie go, pojedziemy do dowództwa!

Tym razem nie gwizdano za wsiadającym na wóz „kanarkiem". Wiara odprowadziła go z szacunkiem żegnając równocześnie szpiega sakramentalnym:

— Będziesz wisiał!

W odwodzie nie przyszło nam przebywać długo. Następnego dnia zajęliśmy okopy nad szosą Urzędów — Annopol, prawie na przedmieściu, które częściowo ocalało od pożaru.

Zaraz na wstępie rzucił nam się w oczy wisielec, dyndający na opalonej gruszy, tuż przy wjeździe do miasteczka. Był to badany wczoraj przez żandarma w naszej obecności ów przebrany strażnik. Udowodniono mu jego zbrodnie, znalazłszy zaszyty w jednym z końskich chomąt dokument będący przepustką, wydaną przez komendanta twierdzy Dęblina dla strażnika N. N., kierującego akcją podpalania osiedli, z których ustępowały wojska rosyjskie.

Wisielec miał na piersiach kartkę z napisem: „Szpieg i podpalacz. Wysłany przez gen. Iwanowa, komendanta twierdzy Dęblin". Powieszony został o świcie przez „kanarków". Jego głupawy woźnica został na razie przytrzymany celem sprawdzenia tożsamości i prawdziwości zeznań po oczyszczeniu od nieprzyjaciela okolic Radomia.

Obecne nasze pozycje, opuszczone niedawno przez 2-gi pułk, znajdujący się już za Urzędówką, były ostrzeliwane niekiedy lekką artylerią. Wiara sobie z niej drwiła, poczyniwszy głębokie wnęki w terenie, wzniesionym nad szosą. W chwilach „odpoczynku", gdy Moskale nie strzelali, czyniono wycieczki do miasta i ocalałych od pożaru chałup. Ludność błogosławiła naszą obecność. Żyła dotąd w ciągłym strachu przed podpalaczami. Teraz przyjmowała nasze wizyty zawsze z pełnymi rękoma. Było więc mleko, jaja, ser i ziemniaki. Wiara pitrasiła, bez względu na to, że należny fasunek docierał teraz do nas normalnie. Nudy okopowe zniewalały do ciągłego niemal mamlania językiem. Najadano się na zapas, zwłaszcza Wuj, który stracił był konkurenta w osobie Bąka. Odszedł on do szpitala jeszcze pod Tarłowem z racji jakiegoś złośliwego obrzęku twarzy. Wuj używał teraz w całej pełni, przysiadając się zawsze tam,

gdzie coś skwierczało lub bulgotało. Ja nie miałem stałego „sitwesa", ale ponieważ byłem dość lubiany w plutonie, otrzymywałem stale zaprosiny to na świeże ziemniaki z konserwą, to na kwaśne mleko, to na gęś lub kurę. Nie brakowało tu bezpańskiego drobiu, trzepoczącego się bezradnie pośród zgliszcz w poszukiwaniu grzęd i pożywienia.

Tak nam minęły trzy dni. Ostatniej nocy zarządzono ostre pogotowie zapowiadając natarcie na rosyjskie okopy. Dnia 16 lipca rano opuściliśmy naszą szosę, maszerując z początku w kolumnie.

Przy wejściu na rynek wisiał jeszcze tuż przy drodze nasz stary znajomy, lecz z poczerniałą już twarzą, na piersi pochyloną. Nogami prawie że dotykał ziemi, a w spętanych w tyle ciała martwych rękach trzymał sporo drobnych kamieni, które mu tam nawtykały dzieci pogorzelców.

Po przejściu rynku, na oczach przyglądających się nam mieszczan, rozluźniliśmy kolumnę i wśród spalonych chałup jęliśmy przebiegać sekcjami do spalonego mostu, na którego opalonych słupach przerzucono wąską kładkę. Biegliśmy teraz gęsiego, jeden za drugim, ile sił w nogach starczyło. Zanim Moskale spostrzegli naszą przeprawę i zaczęli ostrzeliwać mostek, już połowa batalionu była po drugiej stronie rzeki.

Nasza kompania rozwinęła się w linię tyralierską na prawo i dostała się zaraz w szalony ogień karabinowy. Okopy rosyjskie zdały się być tuż-tuż. Mój pluton miał za zadanie zajęcie opuszczonej cegielni, stanowiącej punkt wyjścia do dalszego natarcia. Dostawszy się tu pod gradem pocisków siepiących zajadle w ziemię, znalazłem się pod dachem szopy leżąc na kupie gruzu. Wokoło mnie trzaskały sucho ekrazytówki. Gdzieś w tyle pękały nieprzyjacielskie szrapnele, waliły granaty, nad szopą przelatywały niekiedy z szumem pociski artyleryjskie wspomagające nasze natarcie. Jednym słowem — koncert, co się zowie.

Nagle w tyle, tuż za sobą, usłyszałem rozpaczliwe wołanie:

— Sanitet! Sanitet!

Odwróciłem głowę i dostrzegłem kaprala Śliwę, podoficera bez funkcji, leżącego do góry brzuchem za rozwaloną kupą pokruszonej cegły.

— Co ci jest, Śliwa?

— Ojej, tak mnie brzuch boli! Jest tam gdzie Nieć?

Ale już wzdłuż całej linii podawano wezwanie: „Sanitet!" i nasz dzielny Nieć czołgał się wśród piekielnego ognia ku jęczącemu Śliwie, wkrótce też przypadł do niego, a tuż za nim drugi łapiduch Piotrowski.

— Co wam jest, obywatelu?

— Oj, brzuch, brzuch... Nie wytrzymam! Ta-ak boli!

Sanitariusze wspólnym wysiłkiem wytaszczyli jęczącego Śliwę spod kupy cegieł i unieśli w tył, pod drzewa, a my poderwaliśmy się na rozkaz, podany od lewego, i wśród gradu pocisków przebiegliśmy znowu kilkadziesiąt metrów.

— Padnij! Okopywać się!

Zagłębiłem trzymaną w ręku saperkę w zamulony i stwardniały grunt i zacząłem mozolnie wybierać ziemię spod siebie dla ochrony głowy, bo choć w gęstym zbożu byliśmy dla nieprzyjaciela niewidoczni, Moskale bezustanku strzelali. Dalej robota poszła już łatwiej.

Gdy wykopałem już wnękę dość głęboką na to, aby się w niej móc wygodnie położyć na brzuchu, oparłem karabin na przedpiersiu okopu i jąłem przyciszonym głosem przyzywać towarzyszy.

— Co nowego?

— Nic. Sterczymy na razie tu. Moskale o sto kroków przed nami. Podaj dalej!

Właśnie spełniałem polecenie, gdy tuż za sobą usłyszałem piskliwe sygnały radio-aparatu.

To Matczak, radiotelegrafista, podsunął się aż tutaj i trzymając słuchawki na uszach, szukał właśnie sposobu rozmówienia się z dowództwem.

— Hej, drut! Po coś tu wlazł? Chcesz co oberwać?

Ale Matczak tylko potrząsał głową na moje ostrzeżenia i trąbił wciąż w słuchawkę swoje:

— Hallo! Hallo!

Nagle trzasnął szrapnel w pobliżu nas i Matczak porwał za łopatkę rezygnując narazie z rozmowy.

— A widzisz, nie mówiłem ci, trąbo jerychońska, że tu niebezpiecznie? Może oko zaprószyć! Zmiataj lepiej do tyłu, do kompanii z łapiduchami, bo ci jeszcze w twoją katarynkę trzasną i co będzie? Drugiej takiej tak od razu nie wyfasujesz!

Matczak jednak nie dawał jeszcze za wygraną, chcąc zapewne uchodzić za morowca w oczach kompanii, ale gdy nowe kulki szrapnelowe zaszumiały tuż za nim w zbożu, schwycił swoją skrzynkę pod pachę i wycofał się chyłkiem do tyłu. Przykucnąwszy pod jakimś kopcem granicznym, wnet ponowił swe usiłowania.

Usłyszałem z lewej swej strony głos Lubińskiego.

— Jest jeszcze ten druciarz?

— Zwiał!

— To dobrze, bo to do niego tak prali. Przyplącze się, choroba jedna, do kompanii i pokazuje swój łeb, gdy nie potrzeba, zdradzając pozycje!

Za chwilę posłyszałem znów głos z prawej:

— Uwaga, obywatelu! Jakubowicz wyszedł na patrol pod druty. Podaj dalej!

Jakubowicz był to starszy żołnierz z 2-go plutonu pochodzący z żydowskiej dzielnicy miasta Będzina. Przystał do nas w Dąbrowie, a że chciał koniecznie zostać kapralem, poskramiał wrodzoną swej rasie tchórzliwość i niejednokrotnie już dał dowody odwagi. Teraz poszedł, na ochotnika zapewne, z patrolem w biały dzień pod nieprzyjacielskie okopy, aby przeciąć druty.

— Czy mu się uda?

Wątpiłem w to bardzo, będąc zawsze przeciwnikiem niepotrzebnego narażania się na pewną śmierć. Jakubowicz był zresztą za nerwowy na to, żeby móc dokonać dzieła wymagającego niezwykłej ostrożności i zimnej krwi.

— Sam zginie i ludzi straci! — zakończyłem swoje na ten temat rozmyślania.

Jakoż słusznymi się okazały moje przewidywania, bo po upływie niespełna godziny znów podano od lewego:

— Jakubowicz zabity!... Ludzie z patrolu wynieśli jego ciało!...

Ot, i masz kaprala!

Swoją drogą, szkoda nieboraka. Zacięcie żołnierskie miał, szelma, i żeby tak głupio zginąć! Nawet na „wieczny odpoczynek“ nie zasłużył, bo żyd przecie...

Niech Mu jednak ta polska ziemia, macierz rodzona, za którą z takim poświęceniem walczył, lekką teraz będzie i niechaj Mu Jego patron, rotmistrz Berko z pod Kocka, życiem okupioną szarżę w zaświatach wyznaczy...

Wiatr napędził skądś lekkie chmury i zaczął padać drobny, gęsty deszcz. Moskale jednak strzelali beznadziejnie ze swoich okopów. Artyleria rosyjska biła szrapnelami to tu, to tam, nie mogąc widocznie ustalić, czy linia nasza stoi w miejscu, czy też posuwa się naprzód. Wiara, okrywszy się płachtami namiotowymi, pracowała na czworakach wśród zboża łącząc wnęki. Wkrótce poszczególni strzelcy mogli się ze sobą swobodnie komunikować.

Skorzystał z tego Pecykiel i, raczkując wzdłuż linii, miejscami zaś czołgając się na brzuchu, roznosił bliższe informacje o śmierci Jakubowicza.

Dotarł on był już z patrolem do samych drutów i zaczął je przecinać, ale, dostrzeżony przez Moskali, dostał kulą w same czoło i w tej chwili został uniesiony przez współuczestników patrolu. Czołgając się w zbożu przytaszczyli

do okopów martwe już ciało. Sami wyszli szczęśliwie, bo Mochy poczęli strzelać po całej linii.

Pecykiel doniósł jeszcze, że prawdopodobnie w nocy lub nad ranem będziemy nacierać na nieprzyjaciela. Czekamy, aby pułk Berbeckiego umocnił się na pozycjach, które zdobył dziś rano na lewo od nas.

Drobny z początku deszcz przeszedł wkrótce w prawdziwą ulewę. Strzelanina przycichła.

W tyle za mną, pod kopcem, miejsce Matczaka zajął teraz inny radiotelegrafista Żurek, który zdążył sobie już wykopać obszerny dołek. Umieścił pod płachtą namiotową w okopie swoją piszczącą „katarynkę“ i ze słuchawkami na uszach nasłuchiwał pilnie.

Do mego dołka przykatulał się Zdzich z namiotem. Spięliśmy go razem z moim, urządziwszy w ten sposób zaimprowizowany naprędce daszek nad głowami, po którym grube krople deszczowe bębniły przeszło godzinę. Jednostajność ta usposobiła nas sennie, wkrótce zdrzemnęliśmy się obaj, zapominając o tym, że pora obiadowa już dawno minęła i że manierki nasze wysuszone zostały do cna. Wypita z nich kawa też się po kiszkach przelewać już przestała.

Przed wieczorem ulewa przeszła w drobny kapuśniaczek. Znowu wzmogła się strzelanina. Mochy pukali ze swego okopu aż do zmierzchu, po czym 2-gi pluton wystawił czujki.

Zjawił się łącznik z taboru, meldując, że obiad już gotów i kuchnia czeka we wsi. Każda sekcja wysłała po dwóch ludzi z blaszankami. Poszedłem i ja i, połykając swoją porcję na gorąco tuż przy kuchni, coś niecoś dowiedziałem się o Śliwie. Udając, że ma kurcze żołądkowe, naraził dwóch sanitariuszy, dając się im dźwigać pół kilometra drogi. Dzięki poczciwemu Nieciowi odszedł na tyły i już więcej do batalionu nie powrócił.

Z napełnionymi blaszankami kolegów przyczłapałem po błocie do okopów, a gdy Zdzich spożył wystygły obiad, okręciliśmy się jednym kocem i spaliśmy jak zabici aż do świtu.

Następny dzień przyniósł nam wesołą nowinę. Maszeruje do nas 4-ty pułk, zorganizowany w Piotrkowie ze zwerbowanych przez Sikorskiego ochotników-Królewiaków. Przydzielono do nich oficerów i podoficerów z karpackiej brygady.

Byliśmy pewni, że Dziadek otrzyma teraz dywizję. Radośnie nam było, że nasza garstka powiększy się o parę tysięcy ludzi.

Od Żurka dowiedziałem się, że Niemcy przełamali front pod Tarnogórą i że w związku z tym Mochy i stąd się wycofają. Nie sprawdziła się pogłoska, rozpuszczana przez Pecykla o dalszym naszym natarciu, choć po południu zaczęła walić nasza artyleria, jakby przygotowując to natarcie. Wkrótce strzelanina ustała, zaś w nocy nasza kompania została wycofana do odwodu.

Przespaliśmy się pysznie w stodole. Następny dzień 18 lipca przyniósł drugą urzędową wiadomość o zajęciu Chełma i zagrożeniu Lublina. Mimo to Moskale trzymali się jeszcze przez cały dzień na pozycjach.

Odwiedziliśmy dwie świeże mogiły żołnierzy 2-go pułku, który tu kwaterował przed nami. Przy samej drodze, pod rosochatymi wierzbami, złożono obok nich i naszego Jakubowicza, znacząc tabliczką i wyszarzaną maciejówką, zamiast godła chrześcijańskiego, miejsce spoczynku dzielnego zagłębiaka-Izraelity. Odeszliśmy od mogił poważni i zadumani.

Przyjęci gościnnie przez mieszczuchów, częstujących nas świeżym mlekiem i jajami na twardo, wnet odzyskaliśmy swój beztroski humor. Poprawił się on jeszcze, gdyśmy spostrzegli nieco ładnych dziewcząt, od których Lizdejko zaczął

się zaraz domagać po buziaku dla każdego z nas na intencję wypędzenia Moskali. Zaloty te nie wzbudzały jakoś zazdrości w młodych parobczakach, schodzących się tu z racji trzymania ciągłej warty z bronią w obronie swych zagrożonych domostw. Odbywali oni prawdziwe potyczki z rosyjskimi patrolami przechwalając się wobec nas odniesionymi nad wrogiem przewagami.

Rozumieliśmy się już teraz z nimi doskonale. Ochota do wojaczki, rozbudzona nagle w tych młodych chłopcach, zaiskrzyła się zawadiacko w ich oczach i sprężyła im członki, nienawykłe do żołnierskiej pracy, ale gotowe do niej już dziś.

I przyszedł czas, że na wyraźne hasło, podane przez nas, żołnierzy-tułaczy, powstały tysiące, wyciągnęły się bezbronne dłonie, aby wydrzeć broń z rąk przerażonych wrogów i przepędzić ich hen, za zbożne łany tej przepięknej ziemi, z której wycisnąć umieli do cna wszystko.

Bo tam, spod drogi, od rosochatych wierzb szła owa siła niespożyta, z pokolenia w pokolenie przekazywana tajemnie. Opary świeżej krwi ofiarników, unosząc się nad szkieletami domostw i w perzynę obróconych dostatków, wsiąkały powoli w żyły tych, bezradnych dotąd i niepewnych. Słuchali oni oto z zapartym w piersiach oddechem zwrotki potężnej pieśni legionowej na bój o Polskę wzywającej:

„Idą starcy, mężowie i dzieci,
„Każdy w ręku karabin zaciska...
„Grają trąbki, las bagnetów świeci,
„Czyżby chwila wyzwolin już bliska?“

ŚLADEM KLĘSKI

SŁADEM KLĘSKI

„Dywizja Piłsudskiego z 4-tym pułkiem w straży przedniej maszeruje na Ludwinów".

Tak brzmiał rozkaz do kompanijnych, który nam przeczytał po drodze żołnierz służbowy.

Pakujemy się radośnie, radością też płoną twarze naszych gospodarzy kwater, ocalałych od zagłady. Moskale się cofnęli. Pognały za nimi pułki austriackie, a my mieliśmy wyruszyć wkrótce z Urzędowa jako odwód armii.

Dnia 19 lipca, około południa, nastąpiła zbiórka batalionu na rynku spalonego miasteczka. Po wydaniu obiadu ruszyliśmy w kolumnie powolnym marszem, żegnani serdecznymi okrzykami nielicznej ludności, pozostałej w piwnicach spalonych domów.

Mżył lekki deszcz. Człapiąc po oślizgłym, lepkim błocie czuliśmy jednak w piersiach radość wielką, nie tyle z tego powodu, że znów idziemy naprzód, ile z treści oglądanego rozkazu. Jesteśmy dywizją! Znaczy to, że wzrastamy liczebnie i rozwijamy się organizacyjnie, pomimo tylu i tak bolesnych strat, poniesionych w wytężonym pościgu za wrogiem i pomimo ubytku z szeregów najlepszych naszych oficerów. Toteż spoglądaliśmy z pewną wyrozumiałą życzliwością na zachlapanych taborytów austriackich, dzierżących w zębach swe nieodstępne fajki o długich cybuchach, kiwających się sennie przy wozach konnych „melderajtrów" i innych ciurów obozowych, prowadzących długie sznury wozów, nakrytych brezentem, zatrzymujących coraz naszą kolumnę w marszu. Nie, te Trepy mają

stanowczo za dużo niepotrzebnego balastu. Ciągną na wojnę jak nie przymierzając nasze sławetne pospolite ruszenie, w którym każdy z szlachciców miał ćmę pachołków, kuchcików i innych łapserdaków, dzięki którym niejedno zwycięstwo nie mogło być należycie wykorzystane.

Odczytujemy napisy na mijanych wozach: „K. u. k. Kanzlei-bagage“, „K. u. k. Offiziers-bagage“, „K. u. k. Staffel-Reserve Nro 40“ i — kto by się tam wreszcie wyznał na tych wszystkich cesarsko-królewskich ruchomościach, z których jeno te, tańczące swego odwiecznego kadryla za kołnierzami dzielnych tyłowych wojaków, stanowiły ich niezaprzeczoną, bodaj że najruchliwszą, własność!

Sensację w szeregach sprawiło ukazanie się małego oddziału kawalerzystów 4 pułku w zielonych mundurach i rogatywkach, jadących z wielką fantazją i obrzucających nas błotem, tryskającym spod kopyt ich wypoczętych ognistych rumaków.

— Widzieliście? Podoficerowie mają gwiazdki na kołnierzach, zupełnie jak Austriacy!

— Nic dziwnego. Przecie to też c. i k. panowie ułani, nie zaś obywatele z dobrami na księżycu jak my! — ostrzyła sobie wiara języki na ułanach. Jednakże zazdrościliśmy im w duchu i tych pięknych mundurów i tej fantazji kawaleryjskiej, która zwłaszcza nam, wyczerpanym straszliwie dwumiesięcznym zmaganiem się z wrogiem, wydawała się jakoś całkiem nie na miejscu.

— Zjawi się taki paniczyk, rycerzyk blaszany, na fasowanej świerzbowatej kobyle i udaje zucha, rozbijając się na tyłach — utyskiwali ci, którym rzadkie błoto, trafiwszy w najczulsze miejsca, powoli wysychać zaczynało.

— Ano, zobaczymy, czego te koguciki dokażą w polu!

— Swoją drogą, nie ma to jak nasi beliniacy. Wszystko chłopy morowe i każdy na tatusiowym koniu siedzi, niczyjej łaski nie potrzebuje. A który frajer i biedota jest, zaś do kobylego ogona z przyrodzenia pasujący dokładnie,

ten ci siodło z wszelkimi doń przynależnościami na własnym grzbiecie tranżoli, postękując wesoło, że to w chłodku jest na czym spocząć w marszu, zaś na noclegu po staropolsku kulbakę pod uparty stajenny łeb podłożyć można.

Tak rozmawiając doszliśmy wreszcie do wsi, gdzie nas zaraz rozlokowano.

Nasz pluton otrzymał obszerną stodołę i dość ciasną chałupinę, z reguły przynależną szarżom. Ledwie zdążyliśmy złożyć przemoczone rynsztunki na klepisku i wleźć w zapola, gdy zjawił się kapitan z 4-go pułku, szeroko dowodząc ppor. Ceceniowskiemu, że to właśnie jego kompanii wyznaczono na kwaterę naszą stodołę.

Za chwilę zjawił się łącznik z dowództwa batalionu z wezwaniem na zbiórkę. Mamy zająć kwatery w Majdanie, o trzy kilometry dalej.

Opuściliśmy stodołę, maszerując na drogę, gdzie Dorek sprawił swój pluton do dalszego marszu. Wiara była zła i szła zaciskając zęby i spoglądając ostro na Bogu ducha winnych żołnierzy 4 pułku. Któryś nie wytrzymał i odezwał się pod ich adresem:

— Austriackie panowie z gwiazdkamy, k... ich mać!

Takie było nasze pierwsze spotkanie z czwartakami.

Do Majdanu przyczłapaliśmy już o zmroku. Okazało się, że co lepsze kwatery zajął tu przybyły przed nami 2 pułk. Dostaliśmy nędzną stodółkę, w której było nam ciasno, a Dorek musiał zakwaterować się w chałupie kompanijnego. Pomimo niewygody i braku słomy, zasnęliśmy jednak kamiennym snem, zbudziwszy się nazajutrz, dnia 20 lipca, dość późno.

Słońce świeciło jasno wypijając szybko resztki wilgoci z ziemi. Słychać było działa, dudniące jakby tuż — tuż, bo oczyszczone po deszczu powietrze roznosiło daleko odgłos kanonady coraz silniej, coraz potężniej. Słychać też było wyraźnie bulgotanie ognia karabinowego i wpadający w to pyrkanie terkot karabina maszynowego.

Dziuk udał się za przepustką do 4 pułku, aby się zobaczyć ze swym młodszym bratem, który, będąc niepełnoletni, uciekł z domu, a nie mogąc dostać się do naszej brygady, zaciągnął się w Piotrkowie do 4 pułku.

Działa grały przez cały dzień, a na horyzoncie za wsią widać było białą smugę dymu, z której coraz wyrastały pióropusze dymków pękających w górze szrapnelowych pocisków.

Przed naszą kwaterą przedefilował pluton beliniaków dążących gdzieś na wywiad. Zdawało się to być zapowiedzią prędkiego naszego wejścia w linię bojową. Jechali jak zwykle buńczucznie i z fantazją, a wysmukła sylwetka mego przyjaciela Janka K. pochyliła się w moją stronę z koleżeńskim powitaniem.

— Jak się masz, małpo zielona! Żyjesz, Bogu dzięki, i frajtrem, widzę, zostałeś. Trzymajże się wiatru i pilnuj, by ci cielę z karku nie uciekło!

Nie miałem czasu odwzajemnić się wesołemu ułanowi za tę „małpę“ i „cielę“, co w gwarze ułańskiej oznaczało tornister piechura, gdyż Janek, idąc za przykładem swego dowódcy, pobudził konia do szybszego biegu i odjechał wraz z całym oddziałem nie dawszy mi przyjść do słowa. Bezczelność ułańska oburzyła jednak stojącego wraz ze mną starszego żołnierza Luceńkę z II plutonu.

— Za dużo sobie te kobyle ogony pozwalają względem nas i to tylko dlatego, że mogą na piechura patrzeć z wysokości swego oblazłego ze skóry siodła. Kto to był, znajomy wasz?

— Przyjaciel z lat dawnych, chłopak szczery jak złoto!

— Ale się stawa jak każdy kobylarz. Swoją drogą, morowo wyglądają ci nasi beliniacy, gdy się tak w większej kupie zbiorą — mówił dalej Luceńko goniąc wzrokiem znikające za pagórkiem ułańskie czaka. — Ja tam jednak wolę swoje cielę dźwigać i Moskalom bobu dawać, niż przed nimi w takim szkopku defilować po polu.

Przypomniała mi się w tej chwili charakterystyczna postać starego wiarusa napoleońskiego, kapitana Michalskiego, z jednej z powieści Gąsiorowskiego, co to zawsze zwykł mawiać:

— Piechota, choroba, to grunt!

I nie spoglądałem już tak tęsknym okiem za oddalającymi się ułanami.

Wieczorem wrócił Dziuk z Ludwinowa niezbyt zadowolony. Brat jego, który przywiązał się już był do swego pułku, nie dał się namówić do przeszwarcowania go do naszego batalionu. Co do szarej braci żołnierskiej 4 pułku, jest ona, wedle Dziuka, nastrojona bardzo ideowo. Tylko niektórzy oficerowie, ulegający intrygom Komendy Legionów, i młodzi „chorążowie", szarża u nas nieznana, świeżo przez tę Komendę upieczeni, starają się uprzedzać ich do nas i naszego Komendanta. Wątpliwe jest, aby Dziadek mógł dostać ów pułk pod swoją komendę. Zwłaszcza że Austriacy, którzy uważają nas za „szaloną bandę", pewnie do tego nie dopuszczą.

Byliśmy nieco zmartwieni tą relacją Dziuka, ale gdy wkrótce potem gruchnęła wieść o wzięciu Radomia i przełamaniu frontu rosyjskiego przez jeden z polskich pułków austriackich, humory trochę się poprawiły, zwłaszcza gdy nadszedł rozkaz pakowania się.

A zatem, znowu idziemy naprzód!

Wymarsz nastąpił wieczorem wśród ciemności i błota, w które zapadaliśmy co chwila. Jednak nawet klątwy z tego powodu miały radosną nutę drgającą w głosie każdego z nas. Oto nowy szmat ziemi polskiej znów oczyszczony został od najeźdźcy. Musiał się on szybko wycofać z naszego odcinka frontu, gdyż nie świecił nam jakoś tej nocy łunami płonących wiosek.

Pomimo niewygodnego marszu połknęliśmy bardzo szybko kilka kilometrów drogi i rozkwaterowaliśmy się w dobrze zagospodarowanej wsi. Ludność zachowała tu

cały swój dobytek, przeto spoglądała na nas z pewną nieufnością. Byliśmy w odwodzie armii Ferdynanda, która przeprowadziła skuteczne natarcie, wzięła moc jeńców, dział, kulomiotów i jakiś sztab dywizji wraz z kancelarią do niewoli. Austriacy powetowali sobie tu klęskę, jakiej doznali w tych właśnie okolicach rok temu. O godz. 3-ciej z rana, dnia 22 lipca, ponowili natarcie posuwając się znów naprzód.

Maszerowaliśmy właśnie powoli wśród porzuconych okopów ślicznie zadrzewioną drogą, gdy uwagę naszą zwrócił okop tuż przy samej drodze, pełen świeżo wystrzelonych łusek od nabojów. Było tego chyba z parę worków. Wiara czyniła uwagi:

— Musiał tu być karabin maszynowy. Trepy nie żałują amunicji. Niechby tak z tych wystrzelonych kul jedna na sto trafiła do celu, jatki — pierwsza klasa!

Mijały nas wozy z rannymi. Przeważnie Moskale przyglądający się maszerującej kolumnie naszej z jakimś tępym beznadziejnym uporem. Nagle z nieskoszonego poplątanego łanu zboża, obok którego przechodziliśmy, wyskoczył najprawdziwszy Moskal w podartej rubaszce. Wychynął tak niespodziewanie, że spokojna zazwyczaj kobyła Rzeckiego, prowadzącego kompanię, żachnęła się na jego widok i uskoczyła w bok. Moskal stał jednak spokojnie „na baczność“ salutując nieśmiało naszego porucznika.

— Zdorowo, ziemlak! — odpowiedział na powitanie nasz dowódca, powściągając konia. — Kakoj gubernii?

— Pienzienskoj, wasze s — korodje! — odparł radośnie Moskal piskliwym głosem z intonacją, właściwą Kacapom z okolic miasta Penzy pochodzącym.

— A kakoj czasti? — zapytał znów Rzecki.

— Trista szest'diesiat piatawo zapasnowo bataliona! — zameldował bez zająknienia Moskal, wyrażający tylko oczami swoje zdziwienie z powodu tego, że przemawiają doń w jego ojczystym języku.

— A gdzie twoje „ružjo?"

— Brosił ja jewo, okajannoje, wo rži. Gospodi, pomiłuj! — przeżegnał się Moskal.

— Nu, ładno, stupaj z nami!

Wstrzymana na chwilę kolumna ruszyła. Moskal, zadowolony widocznie, że tak łatwo „popał w plen", przymknął do naszej czwórki z boku i maszerował raźno, odpowiadając swym piskliwym głosikiem na pytania nagabujących go legunów. Z tych bezładnych odpowiedzi jeńca wynikało, że naprzeciw nas znajdują się rezerwiści, tzw. „ratniki opołczenja", którzy w wojsku wcale nie służyli, a będący po raz pierwszy w ogniu. Uzbrojeni też byli nieszczególnie, przeważnie w jednostrzałowe berdanki. Snać Moskale lekceważyli sobie Austriaków i lepszych sił swoich użyli przeciw Niemcom na innym odcinku frontu. Amunicji u nich brak, ponoć na jedno działo wyznacza się zaledwie kilkanaście pocisków dziennie, brak jest także oficerów, praporszczyk dowodzi kompanią. — Duch w tym wojsku nieszczególny, radzi by się poddać wszyscy, ale nie ma sposobności. Nasz rozmówca pozostał jakoś w tyle, odłączywszy się od swego oddziału, przesiedział całą dobę w życie, bojąc się poddać pierwszej linii, mogącej go w zapale bojowym ukatrupić na miejscu.

Doszliśmy do Borzechowa, minęliśmy tę wieś, ścigani ciekawymi oczyma pozostałej tu ludności i weszliśmy na szeroką piaszczystą drogę, wzdłuż której ciągnęły się wnęki rosyjskich okopów. W każdym prawie dołku sterczał skostniały trup, zastygły nagle w skulonej pozycji, z karabinem przy twarzy lub też ściskający kurczowo łopatkę w zmartwiałej dłoni. Wielu leżało na wznak lub też głową w dół na środku drogi. Inni, porozrzucani bezładnie w zbożu i na polu, zaskoczeni widać przez nieprzyjaciela, usiłowali ratować się ucieczką i legli pokotem, skoszeni przez niewidzialny karabin maszynowy. Ze sposobu rozłożenia trupów na pobojowisku doświadczone już oko żoł-

nierza łacno mogło przenieść do świadomości to wszystko, co się tu o świtaniu dnia dzisiejszego odbyć musiało. Widać też, że wszyscy ci polegli żołnierze — to rekruci nie umiejący sobie radzić w polu.

Postępujący wciąż z nami jeniec rozpoznawał ze zgrozą swych najbliższych towarzyszy broni, którzy tu zginęli wszyscy nie wyłączając młodego praporszczyka. Usiłował on widać skryć się za drzewo, gdzie go zaskoczyła śmierć, przywartego do żywego pnia rosłej topoli. Nasz Moskal żegnał się raz po raz, dziękując Bogu za to, że pozwolił mu w Swej niezmiernej łasce uniknąć szczęśliwie tego piekła.

Jednak z tymi „ratnikami“ nie poszło od razu tak łatwo, bo na wprost okopów rosyjskich, pod małym wzniesieniem terenu, niebieszczyło się wprost pole od poległych tu Austriaków nacierających z frontu. Widocznie linia rosyjska przełamana została całkowicie dalej i nie orientujący się oddział został doszczętnie zmieciony ogniem bocznym. Na uwagi te wiara zdobywała się ledwie cichym półszeptem wypowiadając słowa. Widok pobojowiska działał przyciszająco na najbardziej ruchliwych wśród nas. Łkanie naszego jeńca budziło w sercach naszych współczucie dla tych ludzi, którzy znaleźli tu śmierć.

Doszliśmy do lasu pod Łączkami, w którym cały batalion został zatrzymany na dłuższy wypoczynek. Nadjechały kuchnie, pobraliśmy obiad częstując nim także naszego Moskala. Wygłodzony jeniec oczyścił do cna menażkę, zaraz też zyskał na humorze. Będąc gadatliwym z natury, jął nam rozpowiadać o swej „rodinie“. Przyznał się też, że należy do jakiejś sekty, zabraniającej prowadzenia wojen, zabijania zwierząt i w ogóle używania morderczych narzędzi. Teraz dopiero jego wykrzyknik „rzuciłem przeklęty karabin“ stał się dla nas zrozumiały.

Gdy tak jedni gwarzyli sobie z Moskalem, inni mówili o Lublinie, o spodziewanym wzięciu przez Niemców Warszawy. Najbardziej rozradowany był nasz kompanijny, któ-

remu wiara przypominała życzenia wielkanocne, składane nad Nidą. Rzecki był prawie pewny, że już dziś — jutro wkroczy na czele swej kompanii do rodzinnego miasta. Tylko od obiecanego piwa coś się zaczął wykręcać, przekomarzając się z wiarą, że go nie przyrzekał.

Wypocząwszy trochę po obiedzie i rozprostowawszy zmęczone kości poszedłem ze swoją sekcją w głąb lasu, gdzie biwakował pułk Berbeckiego. Tam właśnie był punkt, w którym nastąpiło dziś z rana przerwanie moskiewskiego frontu. I znów przykry przedstawił się nam widok. Zbite, stargane, powyłamywane drzewa w lesie za polaną, skutek silnego ognia działowego. W tej plątaninie znowu gęstwa trupów rosyjskich i austriackich, świadcząca o gwałtowności walki, jaka się tu odbyć musiała. Fala ognia huraganowego, która przeszła w tym miejscu, stworzyła obraz takiego zniszczenia, że krew zastygała w żyłach.

Wróciliśmy w milczeniu do swego obozowiska na skraju lasu, skąd widać było, jak przybyły przed chwilą oddział sanitarny wraz z kilku saperami uprząta pole bitwy przy drodze. Saperzy zwijali się raźno, kopiąc na pagórku dwa olbrzymie doły: jeden dla swoich, a drugi dla tych, którzy wrogami być już przestali. Kilku żołnierzy przytwierdzało do grubego pnia brzozowego dwie poprzeczki, mające przedstawiać krzyż prawosławny, inni znosili z pola trupy. Aniśmy się obejrzeli, kiedy pole zostało puste, a na pagórku wystrzeliły dwa białe krzyże, dzielące ze sobą nawet po śmierci tych, którzy spoczęli pod nimi na wieczny sen.

Czy na wieczny?

Nietrwały jest spokój w takiej zbiorowej mogile. Ktoś kiedyś zainteresuje się kimś bliskim, drogim i kochanym i, aby odnaleźć jego szczątki, pogwałci wieczny spokój umarłych. Jakiś strzęp munduru, guzik zapleśniały, sprzączka lub inny drobiazg stanie się wtedy wskaźnikiem czy najdroższą pamiątką dla potomnych.

Marzył mi się grób taki, jaki widziałem w Konarach i Urzędowie: przez towarzyszy broni starannie odarniowany, ocieniony pięknie naszymi polskimi drzewami, lub gdzieś w lesie, kurhanem ozdobiony. Taki ukryty i niezapomniany, jak te, do których chadzałem, będąc jeszcze chłopięciem, z modlitwą na ustach i postanowieniem odwetu w duszy za cichą śmierć nieznanych nikomu, lecz przez lud prosty odszukanych ostatnich polskich powstańców.

Tego dnia batalion nie śpiewał.

Czas od obiadu do wieczora spędziliśmy w lesie przy kozłach nie rozbijając nawet na noc namiotów. Zabroniono też rozpalania ognisk.

Leżałem długo w noc na podścielisku z leśnego igliwia, wpółsenny i prawie przytomny, jak to zwykle bywa przed spodziewaną bitwą. Jasne było, że wchodzimy znów w linię bojową. Obok mnie żołnierze, otuleni kocami i płachtami namiotowymi, pochrapywali z lekka lub coś mruczeli półgłosem, morzeni również przez sen niespokojny.

Już dnieć poczynało, gdy nas rozbudzono na poranną kawę. Po kawie — zbiórka. Ruszyliśmy za V batalionem w stronę wsi Czołna, gdzie znów biwakowaliśmy w lesie przez cały następny dzień. Wieczorem nadszedł fonogram o wzięciu Chełma i wraz z nim rozkaz pakowania rynsztunków.

* * *

Rano dnia 25 lipca posuwaliśmy się linią tyralierską, aby opanować wzgórze 220, położone na wprost wsi Strzeszkowice Małe. Ze wzgórza tego umykały do wsi rosyjskie patrole, ostrzeliwane z rzadka przez naszych strzelców.

Wiara szła do bitwy jak do tańca dowcipkując i żartując sobie z Moskali, którzy dopiero ze wsi, wzmocnieni widocznie przez silniejsze oddziały, rozpoczęli silny ogień

karabinowy. Równocześnie artyleria rosyjska zaczęła prać szrapnelami, ale widoczne oszczędzanie amunicji nie przyniosło nam żadnych strat. Wiara upatrywała pilnie w biegu, gdzie upadnie warczący „zegar“ od pocisku, aby urządzać formalne wyścigi dla zdobycia gorącego jeszcze krążka metalu, przydatnego do majstrowania różnych drobiazgów dla zabicia nudów okopowych.

Wykonaliśmy już kilka potężnych skoków, gdy ogień karabinowy wzmógł się tak dalece, że musiano zatrzymać linię. Gdy ostatnie sekcje dołączyły i łańcuch tyralierski się wyrównał, padł rozkaz:

— Okopywać się!

Wróciła szpica, meldując, że we wsi znajduje się nieprzyjaciel w większej liczbie. Wiedzieliśmy o tym sami z nagłego natężenia ognia karabinowego, ostrego świstu kul i suchego trzaskania ekrazytówek tuż nad naszymi głowami.

Byliśmy prawie na samym szczycie wzgórza, na polu, upstrzonym gęsto półkopkami zboża. Zaczął padać gruby kroplisty deszcz. Wiara utworzyła samorzutnie łamaną linię frontu, kopiąc pośpiesznie dołki pod złożonymi na polu snopami. Chroniło to równocześnie od kul i deszczu zacinającego właśnie od strony nieprzyjaciela.

Wkopałem się jak kret pod wybrany przez siebie półkopek. Moskale strzelali beznadziejnie, a ich kule więzły z szelestem w związanej silnie słomie. Wyciągnąłem się wygodnie na wilgotnej ziemi, wypoczywając rozkosznie po kilkusetmetrowym szybkim biegu z krótkimi przestankami. Wtem otwór na świat Boży przesłoniła mi jakaś skulona postać. To ppor. Ceceniowski wsunął swą głowę między snopki:

— Zróbcie mi miejsce, obywatelu Popiel, z łaski swojej. Deszcz leje jak z cebra!

Usunąłem się uprzejmie i ociekający wodą Dorek wgramolił się do mojego okopu.

— A niech to, panie, jasny szlag trafi, atakować w taką psią pogodę! Nie macie przypadkiem papierosa?

— Mam tylko paczkę fajkowego.

— Wszystko jedno, panie, dajcie zapalić!

Wiedziałem, że poczciwy Dorek stale rozdaje swój oficerski fasunek żołnierzom swego plutonu, sam żyjąc później kosztem mniej szczodrobliwych kolegów-oficerów. Dobyłem więc czym prędzej ostatnią paczkę śmierdzącego tytoniu, zwykle wyrzucanego przez legunów przy fasunku, zaś przeze mnie zachowanego na czarną godzinę, i poczęstowałem nim swego dowódcę. Bibułka i zapałki, na szczęście, nie zamokły. Skręciliśmy sobie po potężnym „cygarze" i, wykaszlując gryzący dym podłego tytoniu, rozpoczęliśmy gawędę.

— Jak myślicie, obywatelu komendancie, będzie nam dziś gorąco?

— E, chyba Moskale opuszczą wieś, bo nie mają, panie, stamtąd dobrego ostrzału. Widzicie przecie, że wszystkie kule górują!

— No tak, bo zeszliśmy ze szczytu wzgórza na jego pochyłość, a Mochy biją w samą linię horyzontu. Choć „niedonoski" i tu padają!

— W każdym razie dobrze, panie, jest, że mamy jaką taką osłonę z tych snopków i nie będzie strat.

W tej chwili trzasnął nad nami szrapnel i ołowiane kulki posypały się w słomę jak groch. Dorek począł nagle dygotać jak w febrze.

— Co wam jest, obywatelu poruczniku, zmarzliście? — zapytałem troskliwie.

— Przemokłem trochę, ale to nie to. Ot, takie sobie, panie, zdenerwowanie, któremu ulega każdy żołnierz w polu.

— Cykoria, co? — zagadnąłem bez złośliwości.

— Może — rozśmiał się Dorek. — Ale nie taka znów wielka, jak sobie myślicie. Zawsze czuję pewne zdenerwowanie, zwłaszcza przy takiej, panie, sytuacji jak obecna,



... Wtem otwór na świat Boży przysłoniła mi jakaś skulona postać ...

kiedy to, panie, woda cieknie za kołnierz i nie można sobie na wrogu pofolgować. Zresztą my, starzy konspiratorzy, już to mamy we krwi, że w otwartej walce w polu czujemy się nieswojo. Weźcie np. takiego, panie, Kreta. Żołnierz przecie odważny, po kątach się, panie, nie kryje, ale często alarmuje niepotrzebnie i to bynajmniej nie z powodu cykorii, jak mówicie, ale, ot, przywykł człowiek do walki ukradkowej, podstępnej, z brauningiem zza węgła, panie, wystającym. Taki właśnie na nocne patrole jest najodpowiedniejszy.

— Tak, bo zawsze widzi Mochów tam, gdzie ich nie ma!

— Widzi nie widzi, ale robi, panie, ruch w interesie, a to jest rzeczą, panie, ważną, bo bez zainteresowania się wrogiem nie może być, panie, współzawodnictwa. Zresztą wy, jako pedagog, dobrze te rzeczy powinniście rozumieć.

— Owszem, studiowałem w swoim czasie psychologię dziecka i nawet mam wrażenie, że my tu wszyscy w całej brygadzie jesteśmy takimi dużymi dziećmi w szkole Komendanta, z których można mieć wiele pociechy, ale kłopotu jeszcze więcej.

— I znowu nie mówicie, panie, tego, czego was uczono. Jaki może mieć kłopot wychowawca z kochającym go dzieckiem, choćby takim, panie, z wąsami jak ja, całkowicie bezkrytycznym, a więc karnym i posłusznym. Dzieckiem gotowym na każde skinienie Tego, Który wszystko przewidział i przygotować potrafił w krótkim stosunkowo czasie zastęp ludzi, całkowicie idei swego Nauczyciela oddanych? Eh, panie, żebyście wy byli choćby na jednym z wykładów Komendanta, jużby z wami nie było, panie, kłopotu.

Dorek wyrzucił przed okop skwierczące niedopalone „cygaro", milczał przez chwilę, a potem cofnął się myślą do nienawistnej rosyjskiej szkoły, tego przekleństwa naszych lat dziecięcych. Mówił bardzo serdecznie o czasach swej sztubackiej jeszcze konspiracji, o ciężkich warunkach

materialnych. Po śmierci ojca matka jego, pozbawiona wszelkich środków do życia, utrzymywała stancję dla uczniów w „złotogłowym“ Kijowie. Pomimo ciągłej obawy utracenia tego jedynego źródła utrzymania, pielęgnowała starannie w młodych duszach, powierzonych jej pieczy, tradycje nieustępliwej walki o utrzymanie ducha narodowego.

Słuchając intymnych wynurzeń Dorka i wspomnień z tych czasów, przytulony do jego boku w ciasnym okopie, mimowoli przywoływałem w myśli obrazy z powieści Rodziewiczówny „Byli i będą“, ulubionej przez ówczesną młodzież. Prawda życiowa, w treści tej książki zawarta, ilustrowała wybornie opowiadanie mego towarzysza. Węzeł serdecznej przyjaźni, zadzierżgnięty nie od dziś między dowódcą i podkomendnym tego dziwnego wojska, jakim była brygada Piłsudskiego, zacieśnił się jeszcze bardziej po tej rozmowie wśród gradu kul nieprzyjacielskich. Styczność dwóch pokrewnych sobie dusz kazała zapominać o stanowisku, szarży, sferze itp. nieistotnych różnicach.

Ulewa ustała, ale deszcz kropił z małymi przestankami w dalszym ciągu. Dorek opuścił moją norę, aby zrobić przegląd plutonu i wybadać sytuację. Moskale strzelać przestali, wobec czego wysłano kilka patroli do wsi. Gdy te wróciły, ostrzelane słabo przez nieprzyjaciela, przesunięto linię naszą bliżej wsi i zaczęliśmy się okopywać na nowo. Iść naprzód nie można było, bo nie było łączności na prawo. Austriacy jak zwykle się spóźniali, a ścisła łączność z walczącym na lewo od nas 2-gim pułkiem nie została jeszcze nawiązana.

Noc zaskoczyła nas przy łączeniu poszczególnych wnęków i urządzaniu strzelnic. Zresztą przeszła spokojnie przy ciągłym patrolowaniu i ubezpieczaniu wiszącego w powietrzu prawego skrzydła batalionu. Nad ranem dopiero przyszli honwedzi, wojsko morowe, tylko rozmówić się

z nimi — ani rusz. Nadeszły też świeże fonogramy o wzięciu przez Prusaków Błoń i Łomży.

A więc Warszawa, okrążona od północy, lada dzień musi być opuszczona przez wiekowego okupanta i wydana na łup nowego pana.

Co będzie dalej?

Co się stanie z nami?

Jak się ustosunkują Niemcy do Legionów w ogóle?

Pytania te dręczyły wprawdzie każdego z nas, ale legun potrafił otrząsnąć się w porę z wszelkich politycznych dociekań. Bezgraniczna wprost wiara w rozum Komendanta czyniła z leguna optymistę znającego swe miejsce i powinność.

— Niech tam Dziadek łamie sobie nad tym głowę. — Moja rzecz bić się, słuchać rozkazu i basta! — Tak rozumował każdy z nas.

Na razie szykowaliśmy się wszyscy do wkroczenia w mury trybunalskiego grodu, miasta Lublina. Nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, iżby zaszczyt ten miał ominąć nas, przeznaczonych do budzenia ducha narodowego wszędzie tam, gdzie dążenia nasze mogły być poparte przez tradycję, symbole czy też pomniki dawnej chwały i wielkości Ojczyzny naszej, którą z prochu nicości dźwigać się już zdawały nasze czyny i bohaterska śmierć najlepszych spośród nas. A czyż stary pomnik unii, tkwiący w samym sercu prastarego grodu, nie jest tą pamiątką i symbolem wielkiej Idei braterstwa narodów, rozdzieranych gwałtownie pomiędzy Wschód i Zachód?

„Niesiemy wolność na bagnetach".

Przeświadczenie to było głęboko zakorzenione w duszy żołnierza legionowego. Każdy z nas doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że inaczej nie można. Że bez czynu zbrojnego nie ma drogi do zdobycia niezależności politycznej i urządzenia się następnie w swoim państwie tak, aby ową wielką myśl jagiellońską „wolni z wolnymi — równi z rów-

nymi“ móc zastosować względem innych narodów, jęczących pod jarzmem caratu. Już w myśli dobieraliśmy się do skóry następnych gnębicieli ruchu, zmierzającego do odrodzenia narodowego, do wyjścia z szranków przestarzałej szlachetczyzny na nowe tory prawdziwej demokracji i rzeczywistej republikańskiej myśli społecznej. I gdy już niedźwiedź rosyjski poczynał walić się na jedną łopatkę, z natury i kolei rzeczy musiało powstawać pytanie:

— Co będzie z Niemcami?

O Austriaków nikt się nie troszczył i nawet nie zadawał sobie trudu, aby „Trepów“ uważać za godnego siebie przeciwnika. Jawne rusofilstwo Czechów, zdrady Rusinów, wystąpienie Włoch i niewyraźne stanowsko Rumunii, wszystko to rokowało wyraźnie, że sztuczny ten zlepek rozpaść się musi sam w ten czy inny sposób.

Pod tym wrażeniem rozstrzygających się ważnych wypadków politycznych pełniliśmy służbę. Patrolowaliśmy zawzięcie wieś, położoną w odległości jakichś 600 metrów od naszych okopów, a z której nieprzyjaciel wycofał się w nocy podpaliwszy kilka chałup na odchodnym. Pożar jednak został umiejscowiony przez deszcz padający prawie do rana. Wieś ocalała. Była wprawdzie wyludniona. Pozostały w podwórkach drób i kilka sztuk nierogacizny, jak również dojrzewające tu i ówdzie jabłka w sadach stały się powodem, dla którego ochotników na patrole nie brakło. Moskale nie śmieli pokazywać się we wsi, wypuszczając tylko niekiedy pociski szrapnelowe na bardziej nieostrożne grupki gospodarujących we wsi naszych żołnierzy. Aby nie zostać zaskoczonymi w okopach przez nagły atak nieprzyjacielski i mieć wroga pod stałą obserwacją, na odcinku naszego batalionu utrzymywano dwie placówki we wsi, o sile półplutonu we dnie i pełnego plutonu w nocy każda.

Nasza placówka znajdowała się w pobliżu młyna wodnego, nad strugą wpadającą dalej do Bystrzycy. Zaraz za

młynem na prawo znajdowała się kilkumorgowa plantacja chmielu. Za plantacją mieli swoją placówkę Austriacy. Wieś Strzeszkowice Małe, rozbudowana po obu brzegach rzeczułki, silnie zadrzewionych, osłaniała pozycje rosyjskie bardzo dokładnie. Oprócz wystawionych czujek, obserwujących na krótką metę, trzeba było wysyłać dniem i nocą patrole, ostrzeliwane czasem przez nieprzyjaciela lub też ostrzeliwujące ze swej strony czających się w zbożu Moskali. Usiłowali oni wciąż podłożyć ogień, by spalić budynki przeszkadzające im w ostrzale.

Zaraz pierwszej nocy do naszej placówki przybiegł łącznik austriacki, zatrwożony Madziar, który za pomocą żywych ruchów dał nam do zrozumienia, że w młynie dzieje się coś nadzwyczajnego. Wybraliśmy się więc na patrol: ja, Charkowski, Zdzich Rosołowski i Jasio Jurkowiecki.

Na dworze ciemno, tak że o kilka kroków nic zupełnie rozeznać nie można. Opustoszały młyn robił naprawdę niesamowite wrażenie. Unieruchomione koło i zamknięte stawidła, przez które sączyła się z cichym pluskiem woda, na tle wyolbrzymionego w ciemnościach nocnych kadłuba szarego budynku, zdawały się naszeptywać jakieś groźby czy zaklęcia, podczas gdy w samym młynie zgraja czartów wyprawiała jakieś harce. Takie stamtąd dochodziły jęki, zgrzyty i łomotania, że podążający za nami Austriak pozostał przezornie w tyle, nie odważając się wkroczyć w krąg zaczarowanego koła, zwłaszcza że był to czas bliski północy, a więc w sam raz sprzyjający wszelkim siłom „nieczystym".

Zatrzymaliśmy się tuż przy stawidle. Zdzich z Charkowskim weszli ostrożnie przez uchylone drzwi do wnętrza młyna. Wnet blask elektrycznej latarki rozjaśnił szpary w deskach, a równocześnie prawie dwa olbrzymie koty zatoczyły wspaniały łuk w powietrzu skacząc z górnego okienka pod dachem i padając tuż u naszych nóg. Jeden z nich, trącony stopą Jurkowieckiego, miauknął nagle prze-

raźliwie i znikł w jakimś zakamarku. Nagły ten wrzask przygwoździł mnie na chwilę do ziemi, zaś przesądny trochę Jaś, niedowidzący zresztą na jedno oko, znieruchomiał także.

Tymczasem z wnętrza młyna rozległo się znów jakby tupotanie całego pułku kawalerii. Gromada szczurów, olśniona nagłym blaskiem, szukała ukrycia w rozmaitych dziurach. Niektóre gryzonie, rozpędziwszy się zbytnio, wpadały z pluskiem do wody.

— Otóż i młyn zaczarowany! — rzekłem z uśmiechem do Jasia, który zdążył się już uspokoić. Zdzich z Charkowskim zamarudzili jeszcze przez chwilę we wnętrzu rudery, stąpając ostrożnie po trzeszczących schodkach do góry na strych i z powrotem. Wreszcie wyszli do nas, objaśniając półszeptem, dopasowanym doskonale do tego tajemniczego ustronia.

— Musieliśmy zamknąć klapę na górze, którą wiatr oderwał i trzaskał nią o deski czyniąc huczek niemały. A co, nie nastraszyliście się kotów? — dopytywał ze śmiechem Zdzich. — Bo Charkowski tam w środku żegnał się ze strachu lewą ręką. Omało mnie bagnetem nie skaleczył, tak mu ręce dygotały!

— A i Jasio tu też stchórzył. Chciał już diabłu cyrograf szykować!

— Co, ja się bałem? — oburzył się Jurkowiecki. — Otóż pokażę ci, że nie i gotów jestem spatrolować tamten brzeg rzeczki, ale chodź ze mną!

— Dobra, idziemy! A wy tu zostańcie. W razie czego, zawołamy was! — zwróciłem się do wypłoszycieli kotów.

Z wielką ostrożnością, kładąc stopę za stopą na oślizgłej od wilgoci i galaretowatych porostów belce nad stawidłem, przeprawiliśmy się z Jasiem na drugą stronę rzeczułki wpadając odrazu po pas w mokrą trawę. Zerwały się z krzykiem żerujące na łące derkacze. Chciałem iść naprzód, ale Jaś zaprotestował.

— Narobiliśmy dosyć hałasu. Gdyby tu Moskale byli dawnoby się odezwali. Wracajmy do młyna!

Powróciliśmy tą samą drogą, odbywając karkołomną przeprawę po zbutwiałej belce.

Zdzich z Charkowskim kurzyli najspokojniej papierosy tuż pod stawidłem.

— Tam nie ma nikogo. Chodźmy teraz przez chmielarnię do austriackiej placówki napędzić Trepom trochę strachu! — zaproponowałem.

— A no, chodźmy — zgodzili się wszyscy.

Z nastawionymi żądłami bagnetów zapuściliśmy się w splątaną nad naszymi głowami gęstwę wyrosłego już i oplecionego na drutach chmielu. Każdy z nas podążał wygodnie naprzód osobnym szpalerem. Nagle tuż na lewo od nas zatrzeszczały słupy, zachybotały się druty wraz z obwisłymi na nich pękami chmielowych szyszek. Ktoś ucieka naprzełaj w tył ku rzece. Choć wśród chmielu ciemniej było jeszcze niż na polu, chrzęst i tupoty wskazywały nam kierunek pościgu. Wypadłszy ze splątanej gęstwiny zauważyliśmy kilka sylwetek, najwyraźniej moskiewskich, uciekających pędem w stronę rzeki.

— Bij, kto w Boga wierzy! — wrzasnął Charkowski.

Wypaliliśmy kilka razy z karabinów na chybił-trafił z pod pachy prawie. Usłyszeliśmy plusk wody, jakieś szamotanie się. Moskale wskakiwali, jak przed tym szczury, do płytkiego w tym miejscu stawu i wkrótce przepadli nam z oczu. Oddaliśmy jeszcze po dwa strzały już nie z rzeczywistej potrzeby, lecz aby sobie „uradować duszę".

Gdy wszystko ucichło, wracaliśmy zwolna w stronę młyna omawiając teraz głośno fakt przebywania w tym miejscu silnego patrolu nieprzyjacielskiego.

— Czego, u cholery, oni czatowali tu, w w chmielu? — biedził się Zdzich, gdy wtem Charkowski potknął się o coś

szorstkiego i podniósł z ziemi wiecheć słomy, przesycony smołą.

— Widzicie, co chcieli zrobić? Młyn spalić!

— Rzeczywiście! A ja myślałem, że przyszli Trepów fasować.

— Może i to także, ale honwedzi są zbyt ostrożni i patrolują dość dobrze.

Jakby na potwierdzenie tych słów, coś się poruszyło w trawie i zagrzmiał głos:

— Halt! Wer da?

Oddaliśmy hasło i tuż przed nami powstało kilka postaci z ziemi. Był to patrol, wysłany na skutek naszych strzałów z austriackiej placówki za chmielarnią. Znalazło się w nim dwóch Słowaków, z którymi porozumieliśmy się doskonale pokazując im znaleziony wiecheć słomy. Jeszcze kilka takich pęczków, porzuconych pod ścianą młyna od strony południowej, znaleźli przed nami honwedzi. A więc Moskale znajdowali się tuż pod młynem, ale widocznie spłoszeni światłem, na podobieństwo szczurów i kotów, dali nura do chmielu, skąd też zostali przez nas wypłoszeni.

Wróciliśmy do swej placówki wprawdzie przemoczeni i zmęczeni, ale w tym radosnym podnieceniu, jaki daje poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Nazajutrz od samego rana Moskale zaczęli posyłać honwedom prezenty w postaci pocisków artyleryjskich; szrapneli i granatów. Biedne Madziary kręciły się jak w ukropie, biegając z miejsca na miejsce i szukając osłony w chmielu, gdzie też ponieśli straty, bo właśnie szrapnele tam pękały najgęściej.

Na naszym odcinku panował spokój. Przybyło do kompanii trochę rekrutów z uzupełnienia, zwerbowanego na terenach Małopolski Wschodniej i Zachodniej, zwolnionych od rosyjskiej inwazji. Do pierwszej sekcji przydzieleni zostali: Tadeusz Giec (z browarem w Okocimiu nie mający nic

wspólnego) z Sanoka i Artur Mazurek z Tarnowa, obaj uczniowie gimnazjalni. Po odejściu Jędrysika do tworzącego się O. K. M. (oddziału karabinów maszynowych) i Bąka do szpitala, przybytek ten wyrównywał powstałą lukę i czynił służbę cokolwiek lżejszą. Flegmatycznym Giecem zaopiekował się Toldek Rosołowski, przypuszczając go do sitwy, zaś Mazurek, chłopaczyna wątły, krótkowidz z olbrzymimi okularami, zakrywającymi mu pół twarzy, jakoś od razu przylgnął do mnie zachowując się zresztą z należnym respektem. Tytułował mnie „ojczulkiem“, a ja jego „synkiem“ i stosunek ten pozostał już między nami do końca kampanii. Mazurek nie palił papierosów, za to konsumował dużo chleba, mnie zaś wystarczała w zupełności połowa dziennej racji „boskiego“, ale mało było palenia. Nastąpiła tedy wymiana „wartości“ i sitwa trwała.

Zaraz po przybyciu na placówkę rekruci nasi popisali się harcerską sprawnością i spitrasili dla całej sekcji obiad co się zowie: kurczęta z sałatą i młodymi kartofelkami, wieprzowinka i kompot z niedojrzałych jabłek. Tym też zyskali sobie od razu starą wiarę i szybko się z plutonem zżyli.

Tej placówki w Strzeszkowicach Małych, gdzie było wszystkiego w bród, zazdrościły nam inne kompanie, które też wysyłały we dnie patrole niby to dla niepokojenia nieprzyjaciela, lecz mające przede wszystkim na widoku cele prowiantowe. Jednemu z takich patroli, który pod dowództwem zabiegliwego kaprala Józka Lipińskiego, „piekarza“ z nad Nidy, który osaczył i obezwładnił ładnego świniaka i transportował go, przewieszonego na desce, do okopów, zdarzyła się niemiła przygoda. Jedynym przejściem przez rzeczkę na odcinku naszego batalionu były dwie wąskie kładki, rzucone niedbale między drzewami. Do jednej z tych kładek dotarli właśnie amatorzy wieprzowinki. Nie mogli jednak w żaden sposób zdobyczy swej przewindować przez

kładkę. Uparty prosiak, aczkolwiek nieżywy, objawiał wciąż ochotę uciekania to ryjem, to nogami w bagnisty, głęboki rów. Wreszcie wpadli do rowu prawie wszyscy „transportowcy“ niemal po szyję, utrzymując jednak rękami zdobycz na powierzchni kładki. Na domiar złego, jakiś patrol rosyjski jął szamoczącą się w błocie grupę ostrzeliwać. Pośpieszyliśmy z pomocą i wśród bzykania kul wyłowiliśmy z rzeczułki swych kolegów razem z prosiakiem, niegorzej od ciągnących go legunów utytłanym w błocie. Włożono go znów na deskę i poniesiono dalej z honorami, nie interesując się Moskalami, których żołnierze naszej placówki przepędzili rychło z przedpola kilkoma celnymi strzałami.

Nasz pluton utrzymywał teraz stale placówkę we wsi, ale dowództwo batalionu przyszło do przekonania, że wygodniej będzie mieć większą siłę w pobliżu nieprzyjaciela. Cała więc pierwsza kompania zajęła część wsi Strzeszkowice Duże, za rzeczką, rozkwaterowywując się w chałupach i rozszerzając swój zasięg obserwacyjny w lewo od szosy. W dwóch czy trzech zagrodach pozostało kilka rodzin chłopskich, które nie tylko „wymigały“ się od przymusowej ewakuacji, ale zachować zdołały cały swój dobytek w postaci żywego inwentarza. Można było dostać u nich mleka i śmietany, toteż rekruci nasi stosowali teraz wymyślniejsze jadłospisy obiadowe, tak że do kuchni polowej, pozostającej wciąż w tyle za okopami, mało kto się kwapił.

Moskale, z chwilą zajęcia przez nas wsi, przejawiali zupełną prawie bezczynność. Satyr już miał zamiar przerzucić cały batalion za rzekę, gdy nagle dnia 30 lipca 1915 r., wczesnym rankiem, patrole nasze stwierdziły, że w okopach rosyjskich nie ma nikogo. Zafasowano przy tym mały oddział, który zwyczajem, przyjętym u Moskali, pozostawiono umyślnie, aby zamaskować nim odwrót. Zadaniem takich oddziałów było bezustanne ostrzeliwanie nas aż do rana, następnie szybkie wycofanie się, palenie i niszczenie po

drodze wszystkiego, nawet zboża na polu. Tym razem oddziałek rosyjski, pozostawiony pod dowództwem starszego podoficera, Polaka z Sandomierza, nie wykonał rozkazu. Ukryty w zbożu, poczekał na zafasowanie, które nastąpiło w samą porę, gdyż już podkomendni owego „untera", przeczuwając zdradę, poczęli go naglić do odejścia. Sam fakt poddania się kilkunastu ludzi naszemu czteroosobowemu patrolowi świadczył o bezmyślności i tępocie umysłowej rosyjskiego żołnierza, przywykłego do ślepego posłuszeństwa i nie orientującego się w położeniu. Kazał im unter podnieść ręce do góry, więc podnieśli. Maszerowali teraz na tyle naszego batalionu do pobliskiego Radawczyka, dokąd wkrótce nadciągnął V baon będący w odwodzie.

Całym już pułkiem posuwaliśmy się przy dźwiękach orkiestry wzdłuż pięknie zadrzewionej wsi, a choć upał szalony dokuczał w marszu i pot kroplisty zalewał nam oczy ochota rosła w szeregach zwartej kolumny i radosne pogwarki ożywiały czarne od kurzu twarze. Przecież idziemy do Lublina, dokąd wyruszyła już naprzód kawaleria Beliny! Dostaniemy chyba kilkudniowy odpoczynek, wygodne kwatery i choć na krótki czas znajdziemy się w styczności ze światem kulturalnym. Marzyła nam się triumfalna defilada i wlepione w nas oczy nadobnych lublinianek, słynących ze swej urody.

Tak doszliśmy do szosy w Radawcu Małym, gdzie natknęliśmy się na wypoczywający pułk Berbeckiego, który tu nadciągnął z Babina. Radosne okrzyki, pozdrowienia znajomych, kolegów i znowu krótki postój na szosie, w czasie którego sztaby obydwóch pułków odbywały jakąś konferencję. Kręcił się tam Ceceniowski i przyniósł nam niezbyt pomyślną wiadomość o tym, że do Lublina pójdzie na razie prawdopodobnie tylko drugi pułk, my zaś będziemy musieli poczekać na odwody austriackie, które nas mają zmienić w dalszym pościgu za wrogiem. Jakoż wkrótce

drugi pułk pomaszerował szosą do Konopnicy. My zaś boczną drogą przez Radowiec Duży dotarliśmy do linii kolejowej i w pobliżu przystanku Motycz zostaliśmy zatrzymani na jakimś wygonie w oczekiwaniu dalszych rozkazów.

Złożono karabiny i rynsztunki. Wiara, podniecona spodziewanym marszem na Lublin i nie tracąca jeszcze nadziei, jęła się łączyć grupkami, omawiając żywo fakt rozdziału brygady i zazdroszcząc drugiemu pułkowi jego wyróżnienia.

Podszedłem do grupy spoczywających na trawie Moskali, pośród których dowódca ich, sandomierzanin, nie zamykał ust. Opowiadał on otaczającym go legunom o zniechęceniu, jakie opanowało wojsko rosyjskie po upadku Dęblina i opuszczeniu przez Moskali wszystkich gubernii Królestwa Polskiego. Upadek Warszawy uważano prawie za fakt dokonany.

— W naszym pułku znajduje się wielu Polaków z Lubelskiego — dowodził podoficer. — Wszyscy oni wcześniej czy później zdadzą się w „plen", bo co za sens nam, Polakom, bić się za Rosję? Przecie w domu prawie każdy pozostawił żonę i dzieci, które teraz pozostaną bez zapomóg i żadnego poratunku. Toteż korci wracać do swoich w rodzinne strony.

— Myślicie, że was Austriacy puszczą?

— Puszczą nie puszczą, ale zawsze przyjemniej człowiekowi, choć i w niewoli, być bliżej swoich. A jeśli będzie bardzo źle w tym plenie, to i czmychnąć łatwiej stąd, niż przez front z dalekich stepów rosyjskich się przedzierać.

— I to racja! — przyznał słuszność sandomierzaninowi jakiś legun.

— No, dobrze — podjął znów inny. — Za Rosję nie ma sensu bić się Polakowi, to też racja, ale o Polskę walczyć, to chyba warto. Czemu nie myślicie o wstąpieniu w nasze sze-

regi, aby nam dopomóc w odepchnięciu najdalej Moskala. a potem zwrócić swe siły przeciw innym wrogom?

Sprytne oczka naszego rozmówcy pociemniały na chwilę.

— To jest inna sprawa. Mnie wiąże przysięga na wierność, dana carowi. Co innego zdać się w plen, a co innego wystąpić z bronią przeciw Rosji, która mnie podoficerem uczyniła. To nie byłoby honorowe. Gdy w Rosji nie będzie już cara, wtedy my, Polacy w służbie rosyjskiej, będziemy mieli rozwiązane ręce, a póki co, szkoda karku nadstawiać i bić się o to, czego nie ma i może nigdy nie będzie. Aby tylko do domu, do swoich, choćby w przebraniu, pokryjomu się dostać!

Wzruszyłem ramionami na to swoiste pojmowanie honoru wojskowego przez rosyjskiego „służakę“ nie wierzącego w żadną Polskę. Odszedłem do swego plutonu w samą porę, gdyż kompania zbierała się właśnie po obiad. Po spożyciu posiłku — nagła zbiórka i odmarsz. Widząc, że V batalion, postępujący przed nami, skierował się na trakt, biegnący w kierunku wschodnim, wiara nie posiadała się z radości.

— Do Lublina! Do Lublina!

Jakoż spoza linii horyzontu przed nami wystrzeliły już wieżyce kościołów i obraz kipiącego życia miasta stanął przed nami, olśniewając wyobraźnie, niby fata morgana strudzonego podróżnika na pustyni.

Wtem, po jakichś czterech kilometrach marszu, spostrzegliśmy nagle, że kolumna przed nami łamie się pod kątem prostym i zagina na lewo, wchodząc na boczną jakąś dróżynę okrążającą wieś Motycz od strony wschodniej. Idziemy na północ oddalając się od miasta naszych marzeń.

A, psiakrew!

Zaczynają nagle boleć wszystkie mięśnie, nogi ciążą, jakby były ulane z ołowiu. Wiara milczy, tylko niekiedy daje się słyszeć rozdrażniony głos Dziuka, postępującego w dru-

giej czwórce tuż za Kretem i mającego bardzo delikatne powonienie.

— Wujek, nie kadzić!

Wuj nie próbuje nawet usprawiedliwiać się, jak zwykle, kładzie jeno swoim zwyczajem uszy po sobie nie odpowiadając wcale na zaczepki. Gdzieś tam w tyle usiłuje „wygłupiać się“ Otto-Pecykiel, ale nikt go nie słucha, więc milknie i on. Ponury jak noc Rzecki kręci się przed nami na swojej kobyle ścigając tęsknym wzrokiem umykające i niknące coraz za występami falistego terenu wieżyce swego rodzinnego miasta. Wiara szczerze mu współczuje. Gotowa jest wyrzec się przyobiecanego piwa, byleby jeno ukochany dowódca mógł przedefilować na czele swej kompanii pod sklepionym łukiem starożytnej bramy zamkowej. Ceceniowski wygina w marszu w jeszcze większy kabłąk swoje długie ręce i wcale na pluton nie patrzy. Nie zachęca wiary do śpiewu i nie odpowiada na ciche uwagi postępującego obok siebie Garbarza. Wszyscy są zwarzeni i opryskliwi, jednak tempo marsza pozostaje niezmienione.

Lubelskie wieżyce zniknęły nam już dawno z oczu. Rzadko porozrzucane wśród pól zagrody chłopskie migocą z dala porozwieranymi gościnnie wierzejami stodół, z których ustąpił przed chwilą wróg, ścigany przez nas z tą samą zapamiętałością, co i po ruszeniu z nad Nidy. Ale oczy leguńskie nie błyszczą już tą dziecinną radością, co wtedy. Zwisły w dół prawie wszystkie głowy niby kłosy dojrzałe, nogi utykają po zaskorupiałej od upału glinie, w której koleiny drogi wyboistej i nazbyt wąskiej wykręcają pięty, rozluźniają czwórki i mieszają szyki.

Niekiedy wyrwie się z kolumny, by zniknąć czy zamrzeć po prostu w gryzącym tumanie kurzu, czyjeś głośne przekleństwo. Poza tym słychać jeno chrzęst zbrojny i nieustające ani na chwilę tempo powolnego marszu: raz-dwa, raz-dwa.

Dolo ty żołnierska, dolo!

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

122/38

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WP
2121/1
18 (Regał)